

ROCZNIK
FUNDACJI
POMORSKICH KRESOWIAN



GDAŃSK, 2021-2022

ZESZYT 1

PARTNER

Fundacji Pomorskich Kresowian



Spółka Gdańskie Autobusy i Tramwaje jest największą firmą komunikacyjną na Pomorzu i kontynuatorem tradycji komunikacji miejskiej sięgającej 1873 roku. Dysponuje ponad 390 niskopodłogowymi autobusami i tramwajami. Co roku przewozi blisko 170 mln pasażerów i przejeżdża ponad 29 mln kilometrów.

GAiT to firma o ugruntowanej pozycji. Obecnie zatrudnia ponad 800 kierowców i motorniczych. Celem spółki jest zagwarantowanie gdańszczanom bezpieczeństwa i komfortu podróży, a pracownikom dobrych warunków pracy, w której się spełniają. W 2021 oraz 2022 roku firma została uznana za najlepszego pracodawcę w Polsce w kategorii transport i logistyka, w rankingu magazynu Forbes.

Gdańsk jako pierwsze miasto w Polsce zaczęło nadawać imiona tramwajom. Obecnie 52 gdańskie tramwaje mają swoich patronów, wśród nich są także ekspatrianci z Kresów: Anna Walentynowicz, Wanda Szczepuła, Zdzisław Kieturakis, Zbigniew Cybulski.

Gdańskie Autobusy i Tramwaje, ul. Jaśkowa Dolina 2,
80-236 Gdańsk, gait.pl

Spis treści

Michał Rzepiak , <i>Zamiast wstępu</i>	2
Agnieszka Kamińska , <i>Kresowa tradycja na pomorskim wigilijnym stole. Rozmowa z Michałem Rzepiakiem prezesem Fundacji Pomorskich Kresowian</i>	4
Bożena Ptak , <i>Z wileńskiej szkatułki</i>	14
Bożena Rzepiak , <i>Z Wołkowyska przez Warmię do Gdańska. Wspomnienia pomorskich kresowian. Józef Andruszkiewicz</i>	29
Piotr Niwiński , <i>Znane-nieznane. Stanisława Filipek-Smoter</i>	48
Waldemar Kowalski , <i>W sercu zostały drzazgi. 2023 r. 80. rocznica rzezi na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej</i>	54
Kalendarium	64

Zamiast wstępu

Prezentujemy Państwu pierwszy numer Rocznika Fundacji Pomorskich Kresowian. Już na początku muszę się przyznać do pewnej niekonsekwencji. Rocznik jest „dwuletni”, ponieważ obejmuje, poza 2022 rokiem, także cztery miesiące roku poprzedniego. Fundacja powstała 1 września 2021 roku, uznaliśmy więc, że nie można pominąć tego okresu działalności. Drugą zmianą w stosunku do pierwotnych założeń jest wersja elektroniczna rocznika. Mamy nadzieję, że Fundacja na tyle okrzepnie, że kolejne wydania periodyku będą również dostępne w wersji tradycyjnej, drukowanej.

Naszą misją, którą na stronie internetowej fundacijapomorskichkresowian.pl określiliśmy mianem „kamienia węgielnego” jest pokoleniowy obowiązek upamiętnienia dziedzictwa kulturowego obywateli II Rzeczypospolitej, którzy w XX wieku, szczególnie podczas II wojny światowej i po jej zakończeniu zmuszeni byli opuścić Kresy Wschodnie RP i ostatecznie osiedlić się na tzw. Ziemiach Odzyskanych wnosząc wyjątkowy wkład w budowanie i rozwój tych Ziem.

Zamierzeniem Fundacji jest utworzenie i prowadzenie kresowej placówki muzealnej na Pomorzu. Takie są nasze działania i nasze plany.

Na pierwszy numer rocznika złożyły się teksty wspomnieniowe, opowiadające historie rodzinne pomorskich kresowian - zarówno osób urodzonych na Kresach II RP, jak i kolejnego pokolenia, identyfikującego się z historią i znaczeniem kulturowym ziem, które w wyniku II wojny światowej i ustaleń politycznych tzw. „Wielkiej Trójki” - premiera Winstona Churchilla (Wielka Brytania), prezydenta Franklina Delano Roosevelta (USA) i Józefa Stalina (ZSRR) znalazły się poza granicami obecnej Polski.

Dziękuję Zarządowi spółki Gdańskie Autobusy i Tramwaje za życzliwość i wspieranie naszych działań.

Serdecznie zapraszam Państwa do lektury i do współtworzenia Rocznika Fundacji Pomorskich Kresowian.

Michał Rzepiak
prezes Fundacji Pomorskich Kresowian



Rodzina Borkowskich, Wilno, ok. 1917 r. Od lewej Władysław Borkowski, Leontyna Borkowska i dzieci: Władysława, Kazimierz, Stanisława.

Zbiory Michała Rzepiaka

Kresowa tradycja na pomorskim wigilijnym stole

Z Michałem Rzepiakiem, prezesem Fundacji Pomorskich Kresowian, rozmawia Agnieszka Kamińska.

Wyobraźmy sobie czasy przedwojenne, jesteśmy na Kresach w domu Pana dziadków. Jak wyglądały przygotowania do Wigilii i Świąt Bożego Narodzenia?

Uroczysta Wilia na Kresach, bo tak nazywano dzień poprzedzający Boże Narodzenie, odbywała się

u moich pradziadków Leontyny i Władysława Borkowskich. W ten szczególny wieczór w kamienicy przy ulicy Zygmuntowskiej w Wilnie spotykała się najbliższa rodzina, prawie trzydzieści osób. Z dalszą rodziną, to podobno byłyby prawie setka ludzi. Pradziadek, znany wileński przedsiębiorca branży papierniczej, był niekwestionowaną, szanowaną głową rodziny Borkowskich i to właśnie u niego celebrowano święta i inne ważniejsze uroczystości. Nad całością wielodniowych przygotowań do Wigilii czuwała prababcia Leontyna, mając do pomocy służbę. Drzewko świąteczne było pod sufit. Paliły się na nim w lichtarzykach świece i wisały naturalne ozdoby, srebrzone orzechy, pierniki, małe jabłuszka i cukierki w kolorowych opakowaniach.

Przypomina mi się fragment ze „Szczenięcych lat” Melchiora Wańkowicza: *Drzewko więc było w dary konkretne zasobne i chodzić mogłeś koło niego, bracie, trzy dni i objadać się gruntownie. Poza świeczkami i lepionymi w domu łańcuchami z różnokolorowego papieru, wszystko tam można było w gębę włożyć.*

Co stało na stole, jakie zwyczaje i obrzędy świąteczne kultywowano?

Tradycja w polskich rodzinach na Kresach była – co jest oczywiste – tradycją polską. U Borkowskich po południu rozstawiano stół na całą długość. Spod blatu stołu wyciągano następne blaty i nogi, łącznie było ich osiem. Pod śnieżnobiałym obrusem kładziono siano, potem wyciągano źdźbła wróżąc na podstawie ich długości, długość życia. Na stole musiało być dwanaście potraw – wszystkie bezmięsne ze względu na post.

Mięsiwo i ciasta jadło się dopiero w Boże Narodzenie. Do obowiązkowych potraw wigilijnych należał karp po żydowsku przyrządzany na słodko w dużej ilości marchwi i cebuli. Były także ryby w galarecie i gotowane, były też ryby smażone. W Wigilię podawano barszcz czerwony z uszkami. Uszka, to pierożki nadziewane farszem grzybowym i smażone na tłuszczu, na patelni. Uszka brało się palcami, zjadało i dopiero popijało barszczem. Charakterystyczną wileńską potrawą były także śliżyki – małe, wielkości centymetra, pieczone drobne ciasteczka podawane w mleku makowym, w którym był miód i różne bakalie. Na stole był także kompot z suszu i obowiązkowo kwaskowaty kisiel żurawinowy, który przynosił ulgę po obfitej wieczerzy. Nikt się nie spieszył, rozmawiano, a podczas jedzenia wspomnianych śliżyków rozlegał się dzwonek i wchodził św. Mikołaj, czyli wytypowany do tej roli członek rodziny. Jak głoszą rodzinne wspomnienia, najpierw była reprymenda do niegrzecznych dzieci, potem chóralne wołanie, że wszystkie dzieci były grzeczne i na to dictum Św. Mikołaj obdarowywał dziatwę prezentami, a ta z wdzięczności całowała go w rękę. Do tego były odpowiednie komentarze, które wywoływały wiele śmiechu i radości.

Spójrzmy na kresowe święta pod kątem religijnym

W Wigilię po modlitwie, na początku wieczerzy, uroczyście łamano się opłatkiem. Ceremonię rozpoczynał pradziadek Władysław i kolejno, według starszeństwa, łamał się ze wszystkimi, potem następowało wzajemne składanie życzeń. To on pierwszy intonował kolędę. Po kilkugodzinnej Wigilii o północy dorośli szli na

Pasterkę, najczęściej do pobliskiej Katedry św. Stanisława i Władysława. Co ciekawe, w Wilnie obchodzono nie tylko drugi, ale także i trzeci dzień Bożego Narodzenia. To wówczas odbywały się wizyty krewnych, znajomych i przyjaciół. Wuj Andrzej Kotecki, rocznik 1926, w swoich wspomnieniach pisał:

Drzwi u dziadków dosłownie się nie zamykały, jedni wchodzili, drudzy wychodzili. Mam wrażenie, że gdyby nawet przyszedł ktoś obcy, to by go w tłoku nie zauważono, tylko posadzono przy stole, nakarmiono i napojono dokumentnie.

Domyślałam się, że dziś Kresowianom i ich potomkom tamten czas, tamte opowieści kojarzą się z bajkową krainą dzieciństwa, ale też niewątpliwie z krainą utraconą. Ma Pan podobne uczucie?

Mam poczucie ogromnej historycznej niesprawiedliwości, jaka spotkała kresowian. Opowieści międzywojnia, które słyszałem były rzeczywiście rodzinną sielanką. Zazwyczaj mamy takie przekonanie, że jak byliśmy młodzi, to wszystko było lepsze i piękniejsze. Jestem przekonany, że w przypadku kresowian to było coś znacznie więcej, niż tylko kwestia sentymentu do lat minionych. Ci ludzie, żyjący w zgodzie z sąsiadami innych narodowości i wyznań doznali, moim zdaniem jak nikt inny, ogromnej wojennej traumy. I to nie tylko od Niemców czy Sowieców, którzy kilkakrotnie okupowali Kresy, ale także od Litwinów i Ukraińców. A tych, co przeżyli i nie trafili na Syberię, załadowano z niewielkim dobytkiem do bydłych wagonów i wypędzono z Ziemi Ojczyściej, co dziś jeszcze nazywane jest błędnie repatriacją lub eufemistycznie przesiedleniem. Na tzw. Ziemiach Odzyskanych, gdzie

trafili, często odnoszono się do nich z pogardą, nazywając ruskimi i bosymi antkami. Z kolei dla komunistów kresowianie stanowili element niepewny. Aparat represji z zaciekłością likwidował żołnierzy wileńskiej drugiej konspiracji, którzy na Pomorzu prowadzili działalność niepodległościową. Proszę sobie wyobrazić, że wileńskie środowiska poakowskie inwigilowano aż do początku lat 80. XX wieku. Pomijając tzw. festiwal „Solidarności” warto przypomnieć, że do 1989 roku Kresy w oficjalnej przestrzeni nie istniały, a dziś w wolnej Polsce przywracanie pamięci o tamtych ludziach i tamtych czasach niejednokrotnie zderza się z niezrozumieniem historii i poprawnością polityczną. Reasumując, życie na wielokulturowych Kresach – mimo trudności – było niezwykle. Tę bajeczność – jak to pani określiła, a jednocześnie nostalgię widać wyraźnie w „Dolinie Issy” Czesława Miłosza, czy „Lawie” według „Dziadów” Adama Mickiewicza, które zekranizował, urodzony w Nowej Wilejce, Tadeusz Konwicki. Ciągle za mało o tym wiemy, za mało o tym mówimy i za mało z fenomenu Kresów czerpiemy.

Jakie były opowieści Pana przodków dotyczące świat w czasie wojny?

Wojna był traumą dla wszystkich, także Kresowian, w tym mojej rodziny. Wprawdzie wśród setek tysięcy Polaków z Kresów wywiezionych na nieludzką ziemię nie było moich bliskich, ale ich świat legł w gruzach w czerwcu 1940 roku. Wówczas zmarł wspomniany Władysław Borkowski, głowa i ostoja finansowa rodziny. W tym samym roku Litwini

znacjonalizowali sklep pradziadka na ulicy Mickiewicza w Wilnie, a rodzina została wysiedlona do drewnianego domku na peryferiach miasta, na Zarzeczu. Babcia opowiadała mi, jak musiała sprzedawać rodzinne precjoza w zamian za produkty żywnościowe, jak na święta robiła placki z brukwi i z obierek ziemniaków.

Kiedyś pewna osoba z Kresów powiedziała mi krótko: „w czasie wojny byliśmy głodni, a po wojnie przede wszystkim bezdomni”.

Tak było. W 1945 roku z dobytkiem mieszczącym się w bydłym wagonie rodzina przyjechała do Włocławka. W pierwszych miesiącach mieszkali z innymi ekspatriantami w hali fabrycznej. Mąż babci zaangażowany w czasie wojny w działalność konspiracyjną zginął w Auschwitz, mąż jej siostry zmarł niedługo po powrocie z niemieckiego oflagu. W takich warunkach przyszło trzem kobietom - prababci Leontynie, babci Władysławie i jej siostrze Stanisławie z pomocą brata Kazimierza mierzyć się z nową rzeczywistością.

Czy mimo trudnego czasu udawało się wykrzesać radość? Pytam o to, bo wiele osób dziś cierpi, jest w trudnej sytuacji, czuje brak nadziei.

Muszę Pani powiedzieć, że mimo bardzo trudnej sytuacji, zachowali pogodę ducha. Sądzę, że wpływ na to miały silne więzi rodzinne, ich kresowa odporność i determinacja. Mój wuj Kazimierz, mający zdolności artystyczne, założył we Włocławku firmę produkującą lalki, w której pracowała moja babcia. W 1950 roku firma została znacjonalizowana. Do anegdot rodzinnych

przeszło spotkanie babci z kierownikiem z partyjnego nadania, który siedząc za biurkiem instruował ją jednocześnie zagryzając kielbasę z ogórkiem, którego sok ściekał po rękawie.

Siła wartości w których wzrastali w międzywojniu pozwoliła im przezwyciężyć absurd PRL-owskiej rzeczywistości. Nie bez znaczenia było także to, że środowiska kresowe „na wygnaniu” trzymały się razem. Będąc w szkole podstawowej pamiętam, jak moją babcię i ciotkę w Gdańsku odwiedzali znajomi, min. pani Loda (nazwiska niestety nie pamiętam), pani Wanda Ziółkowska. Jeszcze mam w uszach ten – wówczas dla mnie nieco oryginalny – kresowy zaśpiew i tę piękną polszczyznę.

Dziś kolejne pokolenia Borkowskich rozsiane są na Pomorzu, mieszkają w Warszawie i we Włocławku. Mamy ze sobą kontakt, a kilka dni temu wymienialiśmy się rodzinnymi przepisami na śliżyki, żeby nic, a nic nie uronić z tradycyjnej receptury. Więzi rodzinne, serdeczność i wzajemna życzliwość to najlepsza szczepionka na bolączki świata.

Ile dziś pozostało z kultury kresowej? Wiele pomorskich rodzin ma przecież kresowe korzenie.

Ostatnie, jakie znam, dostępne badania przeprowadzone przez CBOS prawie dziesięć lat temu, dotyczące kresowych korzeni Polaków wskazywały, że w województwie pomorskim mieszkało 17 procent osób, które urodziły się na dawnych polskich Kresach Wschodnich. Wśród nich po 1945 roku znaleźli się profesorowie i asystenci Uniwersytetu Stefana Batorego

w Wilnie, którzy tworzyli Akademię Medyczną, Lwowiacy współtworzyli z kolei Politechnikę Gdańską i dzisiejszą Akademię Sztuk Pięknych, która na początku mieściła się w Sopocie. Do Gdyni przyjechali słynni fotografowie wileńscy Bolesława i Edmund Zdanowscy, związani przez lata ze szkołą plastyczną, a to przecież tylko jednostkowe przykłady.

Czy nie jest tak, że jednak trochę za mało robi się, żeby o tej kulturze nie zapomnieć?

Odpowiedź jest oczywista - zdecydowanie za mało! Pamięć o wschodnich ziemiach II Rzeczypospolitej przechowują na Pomorzu środowiska kresowian zrzeszone w stowarzyszeniach Wilnian, Lwowian, Lidzian, Wołkowyszczan i innych. Powstały one zazwyczaj w 1989 roku i przez te lata na wiele sposobów kultywowały pamięć o Kresach oraz pomagały naszym Rodakom żyjącym za wschodnią granicą. Problem w tym, że czas biegnie nieubłaganie, oni odchodzą, a ja otrzymuję książki, zdjęcia, dokumenty, osobiste zapiski. Przyjmuję je z wdzięcznością, ale jestem tylko ich depozytariuszem.

Może trzeba podjąć jakieś inicjatywy mające na celu utrwalenie tego dziedzictwa?

W przestrzeni publicznej na Pomorzu pojawiają się cyklicznie i okazjonalnie wydarzenia, dotyczące Kresów, organizowane przez placówki muzealne, instytucje kultury i samorządy. Nierzadko dzieje się to we współpracy ze wspomnianymi organizacjami kresowymi. Staram się także dołożyć swoją cegiełkę. Od kilku lat popularyzuję Kresy w regionalnej rozgłośni,

współprowadząc sobotnią audycję Kresowy Salonik Radia Gdańsk. Społecznie prowadziłem projekt „Dom Kresy” w ramach pomorskiego oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Projekt został zawieszony ze względu na pandemię.

W ostatnich miesiącach zmaterializowała się nowa inicjatywa, która jest wynikiem spotkań i rozmów z Kresowianami, a także osobami mającymi kresowe korzenie. Uznaliśmy, że istnieje pilna potrzeba zebrania i opracowania rozproszonego kresowego pomorskiego dziedzictwa. Dlatego powołaliśmy Fundację Pomorskich Kresowian.

Czym konkretnie zajmuje się lub zamierza zajmować się Fundacja?

Będziemy opowiadać, że na przykład w Wołkowysku, niedużym kresowym miasteczku ze znaczącym węzłem kolejowym, zatrzymywał się ekspres Moskwa-Paryż, aby załadować świeży transport wołkowyskich raków. A wiem to od 90-letniego wołkowyszczanina, mieszkańca Gdańska. To trochę żartobliwa odpowiedź na pani pytanie i jednocześnie fragment interesującej historii. A takich i podobnych opowieści jest wiele. I radosnych i bardzo trudnych. Tego kresowego świata już nie ma, ale została spuścizna, którą chcemy zebrać i ocalić od zapomnienia.

W jaki sposób chcecie Państwo to zrobić?

Nagrywamy rozmowy, kopiujemy stare zdjęcia i dokumenty z nadzieją, że znajdą one docelowo swoje godne miejsce w Muzeum Pomorskich Kresowian, które zamierzamy stworzyć. Tam będziemy pokazywać

Pomorzanom, w tym młodemu pokoleniu, różnorodny, fascynujący świat Kresów i opowiadać o losach pomorskich Kresowian. Każda opowieść jest dla nas bezcenna, stąd prosimy Państwa o kontakt z Fundacją. Jeżeli Pani pozwoli, na koniec rozmowy chciałbym, za pośrednictwem „Dziennika Bałtyckiego”, złożyć wszystkim pomorskim kresowianom i ich rodzinom zdrowia, radosnych Świąt Bożego Narodzenia i nieustającej opieki Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmowa ukazała się w „Dzienniku Bałtyckim” 23 grudnia 2021 roku.

Z wileńskiej szkatułki

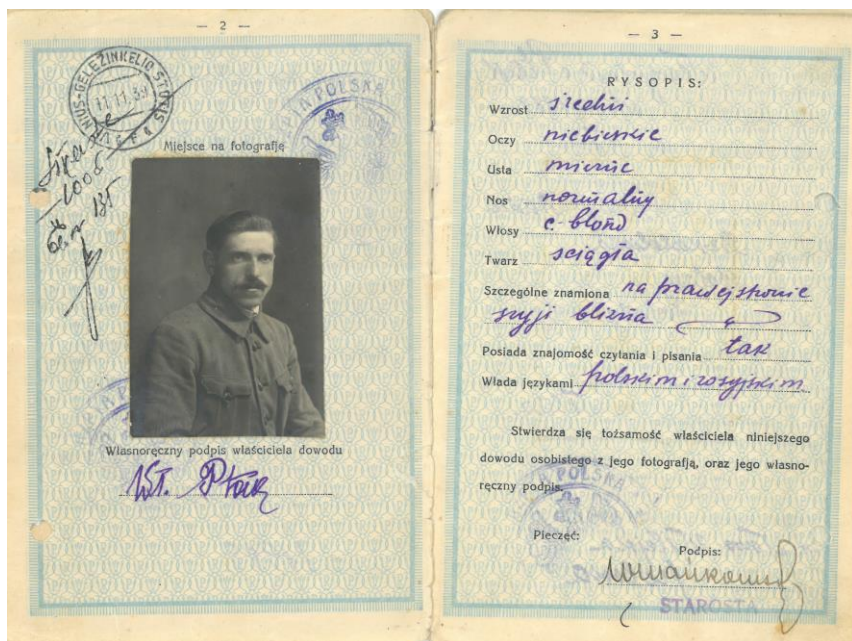
Siedzę nad stosem pamiątek, zdjęć, papierów, które zostały mi w spadku po moim ojcu i zastanawiam się, co mam z tym wszystkim zrobić.

- *Wyrzuć to do kosza. Nawet nie zaglądam, bo zwariujesz* - skwitowała sprawę moja starsza siostra Jolanta, która nie miała zamiaru obarczać siebie i swego mieszkania przeszłością.

Ciekawość zwyciężyła, więc zaczęłam swoje grzebactwo, zadziwiona, co też ludzie pakują w ściśle określony przez władze bagaż. Co pakują, nie wiedząc, dokąd i na jak długo opuszczają swe rodzinne gniazda. Kolejarskiej rodzinie Ptaków nie były obce wyjazdy. W notesie dziadka Władysława na tytułowej stronie czytam: *Nowa-Wilejka 5/I 1925r ul.3-go Maja*. Czy można tam jeszcze trafić? Jaką nazwę nosi dzisiaj litewska ulica? Boże, o ile rzeczy nie zdążyłam zapytać taty. Do ilu pytań wtedy nie dorosłam...

- *Wsiadaj na ten swój czołg i zapitalaj odbijać sowietom to swoje Wilno. Ja bynajmniej się tam nie wybieram i nie oczekuję w moim Gdańsku Niemców* - bojkotowałam jako nastolatka rzewne wspomnienia ojca.

W sypialni rodziców nad łóżkiem czuwała Matka Boska Ostrobramska, na ścianach wisiały grafiki prezentujące Wilno, a mnie najbliższej było do wspomnień mamy, bo mogłam spacerować po ulicach jej dzieciństwa, po Wejherowie, po Kwietnej w Oliwie i po pobliskim parku. Niewiele myślałam wtedy o jej niemieckiej czy gdańskiej rodzinie, która w 1945 też



Dowód osobisty Władysława Ptaka z Nowej Wilejki. 1923 rok

pakowała do walizek swoje wspomnienia i dotychczasowe życie.

Teraz siedzę nad cudzą przeszłością, cudzą nadzieją i tęsknotą, nad notesem dziadka Władysława, który wszystko skrupulatnie notował:

- wykaz poborów miesiąc po miesiącu z poszczególnych lat z wydatkami na dziecięce buciki, czapki, mundurki, przybory szkolne, czynsz, opał,
- rozkład podróży do różnych miast w Polsce od 1920 do 1932 roku - Białystok, Aleksandrów, Poznań, Bydgoszcz, Warszawa, Częstochowa, Kraków, Katowice, Lwów, Słonim, Stanisławów...

O poborach i wydatkach notatki od 1925 do 1941 roku, o podróżach aż do 1954, ale te późniejsze, powojenne dotyczą odwiedzin rodziny, sporadycznego zwiedzania różnych miast PRL-u. Oczywiście już nie pojawia się ani Grodno, ani Lwów, Stanisławów czy Słonim, który jest rodzinnym miastem mojego nieżyjącego teścia. Jego też już o nic nie zapytam. Na kolejnych stronach „mieszkają” zmarli od 1923 do 1946 współpracownicy. Czy ktoś dzisiaj prowadzi takie zapiski? Policzyłam nazwiska tych zmarłych. 56 osób... Dwa razy pojawia się panięskie nazwisko mojej teściowej, która też pochodziła z kolejarskiej rodziny z Nowej Wilejki. Jeden z tych Wyszomirskich zmarł w 1937, drugi we wrześniu 1946. Coś mi się w tych dziadkowych zapiskach nie zgadza i postanawiam sobie, że muszę o tym pogadać z rodziną męża, bo ten rok 1946...? Ale zapis jest wyraźny. Przypominam sobie pierwsze spotkanie w Giżycku z babcią męża Franciszką Wyszomirską. Kiedy się jej przedstawiłam, usłyszałam:

- Ptak, a znałam takich tam za Bugiem. Mieszkali obok w Nowej Wilejce. Ona była chyba chora... Taka trochę szalona.

Ta informacja dotyczyła mojej babki Jadwigi, otoczonej rodzinną tajemnicą. Dzisiaj o jej chorobie, pobycie w szpitalach psychiatrycznych, wiem dużo więcej. Była schizofreniczką. Wtedy mówiono nam, potomnym, że babcia zachorowała po wkroczeniu sowietów. Źle reagowała na kolor czerwony i do dzisiaj na jej grobie nie sadi się ani nie kładzie czerwonych kwiatów i zniczy. Kiedy wróciłam do domu, zapytałam ojca o Wyszomirskich.

- Mieszkali z nami w budynku kolejowym w Nowej Wilejce, – usłyszałam – ale pewnego dnia ten Wyszomirski wypił nieco za dużo z Saszką i nie przestawił semafora. Pociąg się wykołoił, Wyszomirskiego zwolniono z pracy i musiał się wyprowadzić. Pamiętam, jak taki grubas próbował wydostać się przez okno pociągu. Nikomu na szczęście nic się nie stało.

- Babciu, dziadek doprowadził do wykolejenia się jakiegoś pociągu? – zapytał Jurek swoją babkę Franciszkę podczas naszej kolejnej wizyty w Giżycku.

- A było, było – odrzekła babcia z tym charakterystycznym wileńskim zaciąganiem, z tym „ślezykowaniem” jak ja to nazywałam, a któregoś mój ojciec polonista albo nigdy nie miał, albo się z czasem pozbył. Dzisiaj słyhać to u każdego Polaka, który przyjeżdża do nas z Wilna. Drażylałam wtedy również temat choroby mojej babci i tato odkrył rąbek rodzinnej tajemnicy. Dowiedziałam się z jakim strachem wyjeżdżali z Wilna, bojąc się kontroli w ich wagonie służbistów z czerwonymi gwiazdami. Bali się reakcji babci na czerwony kolor.

Lecę przez kilka pustych stron i znajduję trasę swego przyszedłego wypadu do Wilna. *Miejsca zamieszkania z rodziną od 1910.* Trochę trzeba będzie się nagłowić, bo ulice dawno pewno pozmieniały nazwy, ale ciekawostką są nazwiska właścicieli wynajmowanych mieszkań, a czasami ich funkcje społeczne, ranga wojskowa, np. *Wilno, Legionowa, dom Mordesa /generał gubernator/* - tylko data nieczytelna. Na Tokarskiej u Falkowskiego, na Połtawskiej u kogoś tam, ale przy Oszmiańskiej znowu pojawia się rodowe nazwisko teściowej... Dalej nazwy wiosek, miast, których chyba już nie ma, ale niektóre jak: Rewel, Ryga, Toruń, Bydgoszcz... Od 1921 do 1945 Nowa Wilejka.

A potem z dopiskiem *na emigracji*: Łuczany /dzisiaj Giżycko/ i Wejherowo.

O tym, że w latach sześćdziesiątych ze swoją drugą żoną zamieszkał dziadek znowu w Giżycku /tam spoczywa na cmentarzu/ nie ma już nic, a ja pamiętam adres, pod który pisywałam do dziadka i babci – macosi listy: Plac Dworcowy 7. Pewno wyjeżdżając z Wejherowa zostawił najstarszemu synowi swoje wileńskie skarby, a wśród nich notes, który w tej chwili przeglądam. Jest w nim jeszcze tylko szczegółowy opis zmagania z chorobą psychiczną mojej babci Jadwigi, której imię jako drugie nadano mi na chrzcie. Babci Jadwigi nie poznałam, bo zmarła przed moimi narodzinami, a zmarła 7.05.1948 o godzinie 10.00, o czym wiem z notatnika dziadka.



Studenci Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. 1938 rok.
Pierwszy z prawej w kapeluszu Czesław Ptak.

Zanim przejdę do opisu innych wileńskich skarbów, dokładnie wertuję zawartość drewnianej szkatułki, w której znalazłam notes dziadka Władysława. Obok przedwojennych zdjęć /1936/ powodzi w Nowej Wilejce są fotki ze studenckich czasów mojego ojca robione na Uniwersytecie Stefana Batorego i na wakacjach w studenckim ośrodku w Legaciszkach. O tych Legaciszkach za chwilę, bo miałam okazję odwiedzić ten „cmentarz przeszłości”, a teraz wracam do drewnianego pudła wyłożonego *Głosem Kolejowca nr 14*. Z którego roku fragment gazety, która posłużyła wygnańcom jako wyściółka? Mowa w tym numerze o wyborach związkowych, ordynacji wyborczej do sejmu i senatu opartej na ustawie konstytucyjnej z dnia 23 marca 1935. Wnikliwiej przeczytam później, a tymczasem sięgam po starusieńkie zdjęcie, na którym panowie - niby wojskowi? Co ma mi mówić opis ze strony odwrotnej: *Zdjęto we wsi Serbinie /Jerbinie?/ Petersburskiej Guberni Głowskiego powiatu dnia 4 kwietnia 1916 roku.*

Dzwonię do starszej siostry z pytaniem, czy wie, co robił dziadek Władysław w czasie pierwszej wojny światowej. Zaglądam do zachowanego dowodu osobistego dziadka o numerze 1988 wydanego dla obywatela polskiego w lipcu 1923 roku w powiecie wileńsko - trockim i dowiaduję się, że ojciec mojego ojca urodził się w Wilnie w 1889 i był rotmistrzem /to w informacji o stosunku do służby wojskowej/. Czyli, kiedy robiono zdjęcie, miał 27 lat. Z tegoż dokumentu wiem też, że był średniego wzrostu, miał niebieskie oczy, normalny nos, włosy ciemny blond,

ściąglą twarz, bliznę na prawej stronie szyi, umiał pisać i władał biegle polskim i rosyjskim. Jest informacja dotycząca ust, ale nie mogę jej rozszyfrować. Z ciekawości zaglądam do drugiego przechowanego dowodu osobistego, który należał do babci Jadwigi. Wyrabiany był w tym samym czasie, na co wskazuje numer 1989. Wzrost średni, oczy niebieskie, nos normalny, włosy ciemne i twarz owalna. Określenie ust takie jak u dziadka, ale dla mnie nieczytelne. Posiadała znajomość czytania i pisania i podobnie jak dziadek posługiwała się rosyjskim i polskim. Od męża była trzy lata starsza, a urodziła się w powiecie lidzkim we wsi Bolsi. Trzeba poszukać, gdzie to. Niestety nie ma nazwiska panińskiego w tym dokumencie. Może trafię w tym swoim grzebactwie na inne dokumenty.

Więc wracając do tajemniczego zdjęcia z 1916 roku, może któraś z postaci to mój dziadek? Niestety, chociaż całkiem nieźle pamiętam jego twarz, nie rozpoznaję. Pierwsza wojna światowa, a mój tata Czesław ma dokładnie trzy lata i cztery miesiące. Tyle wiem.

Nieomal z nabożeństwem otwieram pożółkłe strony Dziennika Wileńskiego z 8 maja 1934 roku. Wydanie wtorkowe. Próbuję dociec, dlaczego ten właśnie egzemplarz gazety przywędrował z rodziną Ptaków do Łuczan /czy Łuczanego?/, Wejherowa, Sopotu. Na pierwszej stronie program pobytu p. Becka w *Rumunji*, kolejne tytuły z czołówki to: „Sprzeczne informacje o stanie zdrowia Hindenburga”, „O pakcie polsko - sowieckim. Głosy prasy niemieckiej”, o niemieckim antysemityzmie w artykule: „*Der Stuermer*

o mordach rytualnych. Sensacyjny artykuł tygodnika norymberskiego”, dalej przegląd prasy. Wczytuję się, aby rozpoznać przedwojenną opcję polityczną, jaką Dziennik Wileński reprezentuje. Może to choroba współczesności? Może wtedy prasa była niezależna? Tak, tak wiem, prasa niezależna czy też obiektywna nie istniała i nie istnieje. Z prasowego przeglądu dowiaduję się, że nie można liczyć na powojenną solidarność narodu polskiego, bo między komunistami a narodowcami istnieje przepaść nie do pokonania, piszą o tym w „Kurierze Poznańskim”. O różnicach między nacjonalizmem niemieckim, włoskim i polskim rozprawia autor artykułu zamieszczonego w „Gazecie Warszawskiej”, a w „Robotniku” o faszyzowaniu młodzieży w obozach pracy. W czasie swej wizyty w Rydze wiceminister spraw zagranicznych Estonii Laretei rozmawiał z Łotyszami o gwarancji integralności państw nadbałtyckich. Miałam zamiar zrelacjonować zawartość gazety, ale pochłonęłoby to zbyt wiele mojego czasu i energii. Tymczasem sama tak się rozczytałam w tych pozółkłych szpaltach, że porzucam szpargały z tatusiowej szkatułki i ruszam z gazetą do łóżka. Jak coś mnie szczególnie poruszy, to napiszę o tym. Tymczasem dowiem się, czym żyli w Wilnie i w Polsce w roku 1934 rówieśnicy mojego taty, czym zajmowali się w majowy wtorek prawie dziewięćdziesiąt lat temu Polacy. Dalej szczątki jakiegoś dokumentu z urzędowymi pieczętkami, ale ja go nie odtworzę, nie tylko dlatego, że pisany po litewsku, ale zachowane fragmenty, to zbyt mało. Wydane przez Starostwo Wileńsko-Trockie w 1932 r. poświadczenie polskiego obywatelstwa

Czesława Ptaka, to kolejny dokument. Za pół roku tata skończy 20 lat.

Odkrywane skarby próbuję umieścić w czasie, szczególnie w życiu ojca, bo w szkatułce nie są one poukładane chronologicznie. Tak więc kolejny pożółkły papier pochodzi z 11 listopada 1928 i świadczy o przyznaniu dziadkowi Władysławowi Medalu Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości. Za co? Pewno za robotę w związkach zawodowych. Tak się domyślam, przeglądając kartoniki *Delegat na Walny Zjazd... w Stanisławowie, Warszawie itd..* Ale po cholere na tę przymusowa podróż w nieznane włókł ze sobą nieskończoną ilość biletów upoważniających do darmowych kolejowych przejazdów? Ciekawostką jest tylko zapis imienia i nazwiska: *Władysław Ptak* czy *Władysławas Ptakas* – może jestem Ptakajte? Bilety pozwalały podróżować tylko trzecią klasą. Zainteresowanie budzi ogromny sturublowy banknot z 1910 roku ze znakami wodnymi i portretem. Facet czy caryca? Nie wiem. Przydałby się jakiś numizmatyk. Najwięcej miejsca zajmuje podręcznik dla szkół średnich z 1930 *Literatura Polska Wieku XIX* autorstwa Manfreda Kridla. Wiem, że był on wykładowcą mojego taty na uniwersytecie, a ten podręcznik? Ojciec w momencie wydania książki ma 18 lat... Nie mam pojęcia w jakim wieku wtedy szli ludzie na studia. Być może sprawa się wyjaśni, kiedy sięgnę po dalsze skarby. Legitymacja? Dokument o nazwie *Nario Liudijimas*, w którym nie ma miejsca na zdjęcie? W każdym razie ten kartonik z 1940 oznajmia mi, że mój ojciec to: *Ceslavas Ptakas*.



Kolejne cacko: *Informator Kieszonkowy M. Wilna Na R. 1937/8 z planem miasta*. I tak dowiaduję się, że trumnę mogłabym sobie sprawić u pana Witolda Turło na Zawalnej, trwałą ondulację zrobić przy Wileńskiej 42, a po przystępnej cenie mogę kupić siodło na Wileńskiej 23. Dowiaduję się, u kogo wyleczę oczy, uszy, serce itd., gdzie znajdują się wszelakie urzędy, szkoły niższe i wyższe i gdzie można wypożyczyć książki. Z rozkładu jazdy pociągów wynika, że niestety z Wilna do Gdańska nie dojadę. Może przez Grodno, Suwałki, Białystok, Warszawę? No i ta mapa Wilna z ówczesnymi nazwami...

Poselstwo Rzeczypospolitej w Kownie wydało ojcu zaświadczenie 15 stycznia 1940 roku, upoważniające do wyjazdu za granicę, stwierdzające również, że jest obywatelem polskim. Po co mu ono było w 1940 roku?

Wiem, że do końca sierpnia 1939 odbywał praktykę nauczycielską w Świsłoczy /są zdjęcia z tego okresu/, potem brał udział w kampanii wrześniowej. Kiedy trafił w Estonii do niewoli niemieckiej i jak uciekł? Bo wiem, że trafił i wiem, że nawiał. Uczył w kompletach w Wilnie i pracował w jakimś szpitalu w administracji, wykradał sprzęt i medykamenty, zaopatrując przyjaciół z Armii Krajowej. W akcji Ostra Brama został ranny i wtedy młody chirurg, a później profesor medycyny w Gdańsku Kieturakis uratował jego nogę przed amputacją. W całej mojej wiedzy są wielkie luki, a dzisiaj już ojca o nic nie zapytam. Musiałby żyć ponad sto lat...

- *Wsiadaj na ten swój czołg i zapitalaj odbijając sowietom to swoje Wilno* – brzmi mi w uszach jak wyrzut sumienia. Teraz z czułością pieścę brulion z rymowankami taty z 1930 i 1931 roku. Poczucie humoru z jednej strony i kochliwość z drugiej. Ciekawe, kim były te pierwsze miłości czy pierwsza miłość dziewiętnastolatka...



Indeks Czesława Ptaka

Trafiam na indeks z USB i poznaję nazwiska wykładowców: Kridl, Górski, Cywiński, Zdziechowski, Chomiński, Koschmider, Safarewicz /greka/, Dunajówna, Turska, Elzenberg...

Świadectwa z koedukacyjnego Gimnazjum Św. Kazimierza w Nowej Wilejce mówią, że tato do prymusów nie należał, zresztą nic nie wiem o ówczesnej skali ocen. Świadectwo dojrzałości jak i wcześniejsze są w doskonałym stanie. Ale będąc w Wilnie, muszę koniecznie poszukać w Kościele Wszystkich Świętych dokumentacji, bo z metryki chrztu ojca wynika, że tam otrzymał ten pierwszy sakrament 26.12.1912 r.

W 1937 roku Czesław Ptak został wybrany prezesem Koła Polonistów na swym uniwersytecie, o czym informuje odręczne sprawozdanie z Walnego Zebrania Sprawozdawczo-Wyborczego kierowane do *Jego Manificencji Pana Rektora....*

Tymczasowe świadectwo tożsamości wydane 9.11.1939 w Nowej Wilejce, ale z adnotacją, że pod podanym adresem przy Alei Lipowej Czesław Ptak nie jest zameldowany. Nie wiem, co to znaczy. Ale z tego samego roku znajduję inny dowód tożsamości wydany na nazwisko Pakulnis. Szukam w Internecie i dowiaduję się, że właściciel zginął w 1940 roku w Katyniu i zastanawiam się, czy mógł mieć facet coś wspólnego z Marią Pakulnis – aktorką. Szukam na facebook`u i piszę list, że jestem w posiadaniu dowodu osobistego Henryka..., urodzonego w 1913.... Po jakimś czasie mam telefon, że owszem, że to stryjek. Wysyłam dokument rodzinie.

Sierżant Józef Formela wydał tacie 23.10.1945 r. zaświadczenie potwierdzające, że został ojciec okradziony i pozbawiony starego wileńskiego dowodu osobistego, legitymacji nauczycielskiej z 1938 roku i nowszej wystawionej przez gdańskie kuratorium w 1945 roku, zaświadczenia repatriacyjnego i dwóch kartek żywnościowych – swojej i brata Edmunda. Życiorys Czesława Ptaka zamieszkałego przy Hallera 12 w Wejherowie ledwo trzyma się poźółkłej kartki. W tym samym domu zamieszkałam w grudniu 1952, ale było to już przy ulicy Generała Świerczewskiego. Kiedy zmieniono nazwę? I tak cała wejherowska rodzina powiadała:

- Idziemy do cioci Szolci na Hallera.

Dzisiaj ulica wróciła do swej starej nazwy.

Życiorys nosi datę 1.10.1946. Przytoczę go, chociaż nie zawiera elementów, o których wcześniej niebezpiecznie było wspominać.

Urodziłem się dn. 17 XII 1912 r. w Wilnie. W roku 1932 ukończyłem gimnazjum w Nowej Wilejce i bezpośrednio po otrzymaniu świadectwa dojrzałości odbyłem służbę wojskową w Szkole Podchorążych Piechoty w Różanie nad Narwią. W 1933 wstąpiłem na wydział humanistyczny Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Po skończeniu studiów objąłem stanowisko nauczyciela języka polskiego i historii w Gimnazjum i Liceum Państwowym w Swiśtoczy. Po wybuchu wojny powołany zostałem do szeregów Armii Polskiej. Odbyłem kampanię wrześniową, a po klęsce udało mi się wrócić do Wilna.

Do roku 1940 pracowałem dorywczo jako robotnik. Do września 1940, to jest po zajęciu Wilna przez Armię Czerwoną, zostałem powołany na stanowisko nauczyciela

języka polskiego w XI Gimnazjum Polskim w Wilnie. Tam mnie zastał wybuch wojny sowiecko-niemieckiej. W czasie okupacji niemieckiej musiałem opuścić Wilno i udać się do Krasnego nad Uszą, gdzie pracowałem jako buchalter w terpentyniarni. W 1943 wróciłem do Wilna, skąd zostałem wywieziony na roboty do Estonii. Po dwóch miesiącach uciekłem z powrotem do Wilna, gdzie ukrywałem się aż do chwili wkroczenia armii sowieckiej. Na początku 1945/46 pracowałem w gimnazjum w Wejherowie. Niezwykle ciężkie warunki materialne zmuszają mnie do zmiany pracy.

Ani słowa o AK, akcji Ostra Brama, w której ojciec został ranny... Przyczyny przemilczeń jasne, ale zanim tata przyjechał do Wejherowa, krótko uczył w szkole w Białej Podlaskiej. Trafiło w moje ręce jakieś szkolne jubileuszowe wydawnictwo, gdzie wymieniony został w 1945 jako polonista. Dlaczego przemilczał to w życiorysie z 1946? Akademicki dowód osobisty z uniwersytetu w Toruniu z 1947 roku, to dokument z czasów, kiedy ojciec robił magisterkę u Konrada Górskiego. Dotyczyła ta praca Berenta, ale jej tematu nie znam. Pewno też znajdzie się w innej stercie pozostawionych przez tatę papierzysek.

Fragment refleksji Bożeny Ptak, emerytowanej nauczycielki języka polskiego, poetki, autorki libretta i tekstów piosenek do widowisk Zespołu Pieśni i Tańca „Ojcowizna” z Wileńszczyzny, członka Rady Fundacji Pomorskich Kresowian.



Czesław Ptak (drugi od lewej) z kolegami na ulicy Adama Mickiewicza w Wilnie. 1936 r.



Rodzina państwa Andruszkiewiczów. Od lewej: Kazimierz, mama Maria, Józef, Waclaw (stoi z tyłu), tata Leon i Tadeusz. Wołkowysk, ok. 1938 r.

Wspomnienia pomorskich kresowian

Z Wołkowyska przez Warmię do Gdańska

Nazywam się Józef Andruszkiewicz. Urodziłem się 2 lutego 1931 roku w Wołkowysku w województwie białostockim II Rzeczypospolitej Polskiej (dziś to miasto na Białorusi w obwodzie grodzieńskim – przyp. red.). Moimi rodzicami byli Leon i Maria z domu Hermanowicz. Ojciec urodził się w Wilnie w 1900 roku, matka w 1897 roku w miejscowości Roś, 17 km od Wołkowyska. Rodzicami mamy byli Michał Hermanowicz i Nadzieja z domu Klimczuk. Z tego związku urodziła się Maria, moja mama i jej bracia Władysław i Aleksander. Rodzicami ojca był Tomasz

Andruszkiewicz i Aniela z domu Miglin. Babcia Nadzieja mieszkała we wsi Rybaki i zajmowała się trzyhektarowym gospodarstwem. W tamtej wiosce największe gospodarstwo miało 5 ha. Pamiętam, że dom był biedny, jedna izba, kuchnia bez podłogi, okna małe, drzwi zamykane na kolek. Kiedy odwiedzałem babcie, spałem w stodole.

Warszawa i Wilno

Ojciec opowiadał mi, że w Wilnie w 1918 roku bojówki litewskie atakowały Polaków i było coraz mniej bezpiecznie. Jako młody chłopak słysząc wcześniej o Legionach Marszałka zdecydował, że zaciągnie się do wojska. Punkt zborny znajdował się w Suwałkach. Dotarł tam na piechotę, choć zdarzało się, że okoliczni chłopcy podwozili ochotników furmankami, gdy dowiadawali się o celu ich marszu.

W czasie wojny polsko-bolszewickiej ojciec walczył pod Warszawą, był sanitariuszem na pierwszej linii frontu. Po latach opowiadał, jak znosił do okopów ciężko rannego żołnierza. Pamiętką po jego służbie sanitarnej był termometr, który przechowywał jak relikwię.

Z wojskiem dotarł aż za Mińsk, ale na skutek rozkazu trzeba było się wycofać i Mińsk ostatecznie pozostał po stronie radzieckiej. Po zakończeniu wojny ojciec dostał się pod komendę generała Lucjana Żeligowskiego. Brał udział w walkach o Wilno. Jak wspominał, generał przywitał ich, „No, chłopcy, teraz idziemy do domu”.

Kolejarskie życie

Po wojnie, ojciec, w ramach osadnictwa mógł otrzymać 20 ha na Wołyniu, ale zrezygnował, bo nie znalazł się na roli. Jak znalazł się w Wołkowysku, nigdy go o to nie zapytałem. W 1923 roku rodzice wzięli ślub w kościele pod wezwaniem Przenajświętszej Trójcy w pobliskiej Rosi. W Wołkowysku były dwie stacje: Wołkowysk Miasto i Wołkowysk Centralny, gdzie powstawała dzielnica kolejarzy. Ziemia należała do Siehieniów, którzy sprzedawali działki. Tam stanął nasz pierwszy dom. Nowo powstająca dzielnica Wołkowysk Centralny miała trzy ulice: Żeromskiego, Staszica, Kraszewskiego i dwie poprzeczne Szopena i Słowackiego. Mieszkali tam niemalże sami Polacy. W Wołkowysku Mieście oprócz Polaków mieszkali Żydzi, Białorusini i Tatarzy. Był kościół katolicki, cerkiew i bożnica.



Kolejarze w Wołkowysku. Leon Andruszkiewicz stoi w ostatnim rzędzie, trzeci od lewej.

Ojciec podjął pracę na kolei, najpierw na stanowisku hamulcowego, potem był konduktorem. Mieliśmy legitymację kolejową ze zniżką dla rodzin w klasie III, czyli w wagonie z przedziałami i drewnianymi ławkami. Jak pamiętam, były cztery klasy wagonów: czwarta klasa bez ławek, w wolnej przestrzeni tylko z jedną ławą pod ścianą. Druga klasa miała trzy fotele po obu stronach, pierwsza klasa miała po dwa fotele po obu stronach.

Ojciec nosił granatowy mundur, czapkę rogatywkę i trzewiki. Miał też swoje, prywatne buty z cholewami. W domu był tzw. piesek, czyli drewniane urządzenie pomocne do ściągania wysokich butów. Prasowałem ojcu spodnie, czyściłem latarkę karbidową z mosiądzu. Miała dwa kolory, zielony i czerwony do sygnalizacji. Na wyposażeniu był też zegarek na łańcuszku. Dostałem go na studiach, ale potem się zepsuł i gdzieś zagubił. Szkoda, że wtedy nie przywiązywałem do tego wagi.

Spokojne lata trzydzieste

Mama zajmowała się domem i dziećmi. Było czterech chłopców: Waław urodził się w 1924, Tadeusz w 1929, Józef w 1931, Kazimierz w 1935 roku. W 1925 urodziła się dziewczynka Leokadia, która po roku zmarła. Została pochowana w Wołkowysku Mieście, w Centralnym nie było kościoła ani cmentarza.

Mama była surowa. W czasie wojny wychodziłem na pola paść kozy. Sowieci przesunęli czas o dwie godziny. Mama powiedziała, że jeżeli nie wrócę do dziewiątej wieczorem, to nie dostanę kolacji i nie będę spał w łóżku tylko na drewnianej skrzyni. Spóźniłem się i od razu położyłem na skrzyni, ale i tak dostałem lanie,

a gorące ziemniaki z ogniska, które schowałem w kieszeni – wskutek „interwencji” mamy – rozgniotły się i nieźle parzyły. Była stanowcza, ale sprawiedliwa, nie wyróżniała nikogo.

Tata dbał o resztę. Ze zdjęć wiem, że wyjeżdżaliśmy do Wilna, także do Łap na święta, do Klimczuków, krewnych ze strony mamy.

Nasza sytuacja materialna do wojny była dobra. Kolejarze zarabiali ok. 300 zł miesięcznie, ojciec dodatkowo wziął pożyczkę z banku i w 1938 roku przeprowadziliśmy się do nowowynbudowanego, drewnianego domu. Były w nim dwie sypialnie, duży pokój i kuchnia z osobnymi piecami do pieczenia chleba i ciast. Był jeszcze jeden pokój, który mama wynajmowała lokatorom. Działka miała 1000 mkw, wokół domu był ogród i zabudowania gospodarcze. Hodowaliśmy kury, króliki i świnie.

Nasz dom jak i pozostałe w Wołkowysku Centralnym nie miały kanalizacji, ale nie było problemu z higieną. Na co dzień kąpaliśmy się w balii. Dla pracowników kolei była w mieście doskonale wyposażona łaźnia z wanną, prysznicem i parownią, w której nie rozgrzewano kamieni i nie polewano ich wodą na wzór rosyjski, ale wpuszczano gorącą parę. Były tam schody i ławki. Najwyżej było najgoręcej. Mnie wystarczyła pierwsza ławka. Tata miał brzożową miotłkę, a my go nią klepaliśmy. Po wyparzeniu i ubraniu, jedliśmy, abyśmy mieli siłę wrócić do domu.

W czyżyka i dwa ognie

Moje dziecięce wspomnienia z Wołkowyska to piękne pola i pachnące łąki, pełne koniczyny. Lubiłem

robić wianki, a nawet nosiłem je na głowie. Ziemia nie był urodzajna, ale wszystko dobrze rosło. Były lasy, wąwozy w których bawiliśmy się. Ulice w naszej dzielnicy były piaszczyste i tam graliśmy w czyżyka. Wykreślaliśmy kwadrat, w środku z dołkiem, w którym leżał kijek, a długim kijem należało podrzucić kijek i uderzyć w kierunku kolegi. Jeżeli złapał, zajmował kwadracik. Poza tym graliśmy w dwa ognie, dziewczynki rysowały i grały w klasy. Ważne miejsce wśród chłopców zajmowały zabawy pirotechniczne. We wgłębienie klucza wkładaliśmy siarkę z zapalki, klucz zamykaliśmy gwoździem. Uderzając nim o podmurówkę następował wystrzał. Wczesną wiosną zjeżdżaliśmy z pagórków, bo pod roztapiającym się śniegiem było jeszcze dużo lodu. Podpierając się kijkami podbitymi gwoździami, odpychając się na sankach, staraliśmy się zrzucić przeciwnika. Budowaliśmy też skocznie ze śniegu i próbowaliśmy skoków na nartach. Ulica Sienkiewicza ze swoim stromym zejściem świetnie się do tego nadawała.

Lata w Wołkowysku były upalne. Czas spędzaliśmy nad rzeką Roś, która nie była głęboka. Kąpaliśmy się nawet do października. Poranny szron szybko znikał, a południowe słońce zachęcało nas do zabaw w rzece.

Nie zawiedzie się Ojczyzna...

Do szkoły poszedłem jako sześciolatek. Dyrektorem był pan Zasada. Szkoła była podzielona na męską i żeńską z osobnymi wejściami. Moja klasa liczyła około 30 uczniów i była jednolita narodowościowo. W dzielnicy kolejowej mieszkali zasadniczo tylko Polacy.

Uczyła mnie pani Duchowa, a lekcje religii prowadził ksiądz Henryk Oziewicz. Na ścianie wisiał portret prezydenta Ignacego Mościckiego. W szkole obowiązywały chłopięce mundurki i dziewczęce fartuszki z białymi kołnierzykami. Dyscyplinę wymierzano listwą od piórnika. Na uroczystościach kościelnych szkoła występowała ze swoim sztandarem. Były na nim wyhaftowane słowa marszałka Józefa Piłsudskiego: „Nie zawiedzie się Ojczyzna, która patrzy na was z ufnością i wiarą”.

Czas wojny

Sierpień 1939 roku był niespokojny. Rozporządzenia nakazywały kopanie okopów w ogrodach, przygotowanie bramek w parkanach między działkami dla ewentualnego przemieszczania się żołnierzy w razie walk w mieście. Jeszcze w sierpniu wojsko zrobiło na polach za dzielnicą Wołkowysk Centralny pokaz walki na koniach, a 3 września wyjechało w rejon Augustowa i Suwałk. To był 3 Pułk Strzelców Konnych im. Hetmana Polnego Koronnego Stefana Czarnieckiego, który stacjonował w Wołkowysku. Po wojnie poznałem ich. W 1986 roku było ich 300, mieli swoje koło w Krakowie, w latach 90. została garstka.

W pierwszych dniach wojny ogłoszono, aby przekazywać wojsku rowery. Ojciec kazał mojemu bratu przekazać swój rower do koszar. Wacek pojechał, ale okazało się, że nie było to już aktualne. Płakał, że nasz rower nie trafił na wyposażenie polskich żołnierzy.

Wołkowysk Centralny nie był bombardowany za wyjątkiem pobliskiego dworca. Mama zaprowadziła

nas do piwnicy. Huk był taki, że zatrzęsł się nasz dom. Pamiętam, jak wówczas mama zaczęła się modlić.

Za pierwszego sowieta

19 września 1939 roku do Wołkowyska wkroczyli sowietci. Byliśmy zaskoczeni, przecież walczyliśmy z Niemcami, a tu zjawia się jakieś wojsko w spiczastych czapkach z czerwonymi gwiazdami, karabiny na sznurkach z wystającymi długimi bagnietami. Rozpoczęła się agitacja. Nas werbowano do pionierów, starszych do Komsomołu. Lena Kryńska z ul. Żeromskiego zapisała się i włożyła czerwony krawat. Mówiło się, że niejeden został wywieziony na Sybir za jej przyczyną. Gdy w latach 90. byłem z kolegami w Wołkowysku zachęcano, aby ją odwiedzić. Nie zdecydowałem się.

W naszej dzielnicy nie było kina, więc sowietci swoje filmy propagandowe wyświetlali na placu, a za ekran służyło białe prześcieradło. Jeden film boleśnie utkwiał mi w pamięci. Pokazywał wejście sowietów na polskie kresy, przed którymi uciekają właściciele majątków, zazwyczaj bez spodni, nago. Przynosili wolność od polskich panów...

Został mi w pamięci obraz z pierwszej okupacji sowieckiej. Była zima. Mocno chuchałem na szybę, aby zrobić otworek dla oka i zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Mróz był 30 stopniowy i wtedy zobaczyłem jak sześciu sowietów z wysokimi czapkami, z wycelowanymi karabinami prowadziło aresztowanego Polaka, jednego człowieka, ubranego tylko w marynarkę. Nie mogę tego zapomnieć.

Sowieci organizowali kolonie. Pamiętam, jak prosiłem ojca, aby pozwolił mi pojechać. Ojciec stanowczo odmówił. Jestem mu bardzo wdzięczny, bo gdy wybuchła wojna niemiecko-rosyjska całą kolonię dzieci wywieziono do ZSRS. Z naszej ulicy Staszica pojechało dwóch chłopców. Przyjechali ponownie, gdy sowieci po raz drugi zajęli Wołkowysk. Powiedzieli rodzicom, żeby ich nie szukali, bo oni są w Moskwie i tam zostają.

Wacka Polkowskiego, syna sąsiadów, z którymi dzieliliśmy studnię, sowieci aresztowali. Miał kilkanaście lat, był w wieku mojego starszego brata. To był sygnał, że za chwilę wywiozą całą jego rodzinę. Zdecydowali się uciec do Generalnej Guberni. Wacek przysłał list do mojej matki z Murmańska, a matka wysłała mu paczkę. Nie wiadomo czy doszła, żadnej zwrotnej odpowiedzi nie dostała. Jego rodzice zostawili u nas stół. Po wojnie ojciec odnalazł ich w Siedlcach. Chciał przekazać, ale Polkowski powiedział, żeby sobie ten stół zostawił.

W czasie wojny mieszkała u nas czasowo rodzina z dziewczynką, która zostawiła szmacianą lalkę. Moja matka wyjeżdżając zabrała lalkę, a po wojnie odnalazła jej właścicielkę. Wywołało to ogromne wzruszenie. Nazywali się Boruccy. Rosjanie jak wywozili, to przyjeżdżali w nocy. W domu przy ulicy Staszica 43 mieszkali państwo Sierkiewiczowie. Pewnego ranka mama powiedziała: zabrali Sierkiewiczów. Wywieźli ich w przeddzień wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej. Uratowała się córka, która była na wakacjach u ciotki w Hajnówce. Za czasów niemieckich prowadziła

w Wołkowysku tajne nauczanie, po wojnie mieszkała w Malborku. Wywieźli Daszkiewiczów i Dawgierdów. Nasza ulica pustoszała. Rodzice z trwogą czekali na swoją kolej.

Po wejściu Sowietów Żydzi wydawali Polaków Rosjanom. Wskazywali, gdzie pracowali, jakie stanowiska zajmowali. Za pierwszej okupacji nie można było mówić Żyd, bo uważali, że jest to dla nich obraźliwe. Należało mówić po rosyjsku - Jewrej. Mama opowiadała, że w sklepie Żyd chodził butami po rozsypanej soli, a kiedy zwrócono mu uwagę, powiedział, że wasz Rydz Śmigły worki wywiózł do Londynu.

Ojciec stracił pracę. W naszym domu zamieszkał rosyjski oficer w stopniu kapitana. Wtedy ojciec spalił swoje wszystkie dokumenty wojskowe. Gdyby podczas rewizji okazało się, że był legionistą, to byłby nasz koniec.

Niemieckie porządki

Po wkroczeniu Sowietów w 1939 roku ojciec pracował dorywczo, nie było pieniędzy. Wtedy zazналиśmy prawdziwej biedy, byliśmy głodni. Po kawałek chleba, który był wodnistym klajstrem, trzeba było stać w długiej kolejce. Ta sytuacja trwała do czerwca 1941 roku, aż weszli Niemcy. Utkwił mi ten moment. Nad ranem usłyszeliśmy okropny wrzask. Myśleliśmy, że coś się dzieje z naszymi, z Polakami, a to Rosjanie uciekali w popłochu, próbując dostać się do pociągu. Ten oficer, który mieszkał u nas też uciekał. Ojciec spotkał go w Baranowiczach, okazało się, że nie

zdążył uciec, bo Niemcy już tam byli. Nie wiadomo, co się z nim stało.

Wołkowysk administracyjnie znalazł się w Rzeszy.

Mama wysłała mnie na tajne nauczanie do nauczycielki, Waclawy Sielickiej. Miała ona młodszego brata w moim wieku. Mieszkali w dużym, murowanym domu z ogrodem. Górę domu zajmowali Niemcy. Była nas trójka - Ignas, ja i jeszcze ktoś. Stukające buty zagłuszały nasze lekcje. Oficjalnie przychodziliśmy się pobawić.

Podczas okupacji niemieckiej każdy czternastolatek musiał pracować. Brat Tadzik był zatrudniony u murarza jako pomocnik, już nie chodził do szkoły. Żeby wyrównać edukację, po wojnie, mimo że był dwa lata starszy ode mnie, chodziliśmy do tej samej klasy i zdawaliśmy w tym samym roku maturę.

Młodszy chłopcy musieli pracować przy obsłudze niemieckich żołnierzy jadących na front lub wracających na urlop. Mieliśmy blaszki z numerem i dokument. Nosilem walizki, niektóre były tak ciężkie, że nie byłem w stanie ich podnieść. Miałem dziesięć lat. Wówczas Niemiec kładł mi walizkę na plecy, a ja musiałem ją nieść. Potem ojciec przysposobił mi wózek, z podwójnym dyszlem, jak w rikszy. Koła były motocyklowe, ale bez opon i łożysk. Cennik za usługę i waluta były zróżnicowane. Transport walizki kosztował 50 fenigów. Zapłatę otrzymywałem przeważnie w naturze, najczęściej były to pomarańcze i papierosy. Kiedyś za przyniesienie walizki od żołnierza jadącego na urlop z frontu rosyjskiego dostałem czerwońca czyli 100 rubli,

a wymiana była 1:10 czyli aż 10 marek za jeden kurs!
Z radości chciałem tego czerwońca pocałować.

Kolega musiał roznosić gazety niemieckie. Zaproponowałem, że mu pomogę. Nie można było ich zniszczyć, ani zwrócić, bo za zwrot trzeba było zapłacić. Były stanowiska *Heimat Front* i *Front Heimat*, a oprócz tego jechały transporty z rannymi do szpitala, do których nie można było podchodzić. Te wagony stawały daleko od peronu. Widziałem tych żołnierzy, zakrwawieni, nieumyjni, ale spragnieni wiadomości. Mimo ryzyka wziąłem część gazet i pobiegłem krzycząc „Bialystoker Zeitung”. Kupowali gazety nawet sprzed miesiąca płacąc rublami i to był jeszcze większy zysk. Poza tym dostawaliśmy pomarańcze, mandarynki, bo wśród nich byli żołnierze wracający z Francji i Hiszpanii. Czuliśmy upokorzenie, że tam pracujemy i strach. Najbardziej baliśmy się Niemców z psami, którzy kontrolowali tory. Pewnego razu staliśmy z kolegami, gdy pojawił się niemiecki żołnierz z synem. Prawdopodobnie chciał, żeby ten synek się zabawił. Kazał jednemu z chłopców wejść do beczki i poszczuł go psem. Pies toczył beczkę, trudno sobie wyobrazić, co ten chłopak przeżył. Do dziś pozostał mi uraz i na widok dużego psa ogarnia mnie strach.

Niemcy jedli posiłki w kantynie. Kiedy padała komenda, natychmiast wychodzili, zostawiając jedzenie na stołach. Wtedy nikt nie był w stanie nas powstrzymać. W tym celu mama uszyła woreczek, który nosiłem na tasie pod kurtką. Braliśmy masło, chleb, wszystko co się dało. To co robiliśmy, było bardzo ryzykowne. Na bramie stał wartownik, więc zrobiliśmy dziurę

w drucianym ogrodzeniu i przez nią wychodziliśmy wprost na ulicę Żeromskiego, blisko domu. Mama chleb suszyła na wypadek gdyby przyszedł głód, jak za sowieta.

Ojciec dostał pracę na kolei. Miał pensję, ale praca była niebezpieczna. Na tym terenie działały oddziały Armii Krajowej i partyzantka sowiecka. Pociągi były wysadzane. Ładunki były mocowane na linkach i gdy transport nadjeżdżał, pociągano za linkę i wówczas dochodziło do wybuchu. Kiedyś ojciec siedział trzy doby w lesie, aż uporządkowano torowisko po wysadzonej lokomotywie. Potem, aby zabezpieczyć transport, z przodu i z tyłu lokomotywy doczepiano platformy transportowe. Niemcy przed kolejnym wysłaniem transportu zapytali ojca o ewentualne miejsce ataku. Ojciec określił je i wyjaśnił, że aby nie być raniony wyskakuje i kładzie się na ziemię za nasypem. Ten scenariusz powtórzył się. Niemcy też wyskoczyli, ale po pewnym czasie wrócili i nie znaleźli w transporcie ukrytej broni. Uznali, że ojciec był w zмовie z partyzantami. Chcieli go rozstrzelać na najbliższej stacji. Ostatecznie trafił do Baranowicz na gestapo. Rozpoczęły się śledztwo, tortury. Najgorsze było stanie pod kranem z kapiącą wodą w jedno miejsce na głowie. Ojciec mówił, że był to ból nie do wytrzymania. Po dwóch tygodniach ojca wypuścili, okazało się, że broń, której szukali dotarła na front.

Pamiętam dzień jego powrotu. Bawiłem się na ulicy z kolegą kiedy podszedł do mnie zarośnięty, wychudzony człowiek. Poznałem go dopiero wówczas, gdy się do mnie odezwał.

Za drugiego sowieta

Czuło się, że zbliża się front. Ojciec zdecydował, że opuścimy dom. Udaliśmy się do wsi Kołłątaje i tam zatrzymaliśmy się u jakiejś rodziny chłopskiej. Po południu przyjechali Ukraińcy, którzy współpracowali z Niemcami. Przyszli do wioski i kłując drutami ziemię sprawdzali, gdzie ludzie zakopali swoje dobra. Ponieważ nic nie znaleźli zażądali, aby zebrano i oddano im wszystkie cenne rzeczy. Zagrozili, że spalą wioskę. Gdy Ukraińcy odeszli, zjawił się konno niemiecki oficer z informacją, że Rosjanie są już w nieodległym Słonimiu. Gdy dowiedział się o Ukraińcach, pojechał do nich i tego dnia mieliśmy spokój. Nocą stała się rzecz nieoczekiwana. Ukraińcy do późna biwakowali i palili ogniska. Nadlatujące samoloty sowieckie, widząc spore zgromadzenie, zbombardowały ich. To była prawdziwa masakra, konie, wozy, ludzie. Nigdy czegoś tak okropnego nie widziałem.

Następnego dnia w Wołkowysku byli już Rosjanie. Lepiej ubrani, z workami wojskowymi. Wróciliśmy do domu. Było lato 1944 roku. Ojciec znów stracił pracę. W tym czasie w Wołkowysku powstał rynek. Było tam dużo złodziei i cwaniaków, dlatego nazywaliśmy go chytrym rynkiem. Ojciec kupował od chłopów liście tytoniu, kroił specjalną maszynką i sprzedawał. Był to towar atrakcyjny, bo w sklepach sprzedawano tylko rosyjską machorkę. Ja sprzedawałem owoce z ogrodu i też miałem kilka groszy. Mama wynajmowała robotnikom naprawiającym tabor kolejowy pokój. Płacili zbożem. Jakoś sobie radziliśmy.

Ładujcie się w waszu Polszu

- *Wyjeżdżajcie, bo tu nie będzie Polski, słyszeliśmy.* Do domu zakwaterowano nam majora. Ojciec w obawie, że sowieci odkryją, że był legionistą coraz częściej myślał o wyjeździe. Mama nie chciała zostawiać domu. Wreszcie nadarzyła się okazja. Po Białorusinach z Białostoczczyzny, którzy trafili do Wołkowyska i zamieszkali u nas, dostaliśmy wagon.

Tata powiadomił kolegę, załatwili formalności i ruszyliśmy w nieznaną. To był październik, piękna słoneczna pogoda. Na granicy dowiedzieliśmy się, że mamy przygotować wódkę i słoninę, wówczas kontrola będzie łagodniejsza. Nic z tego. Rozwalali każdą skrzynię, kontrolując, co wywozimy. Zobaczyli, że mamy rosyjskie książki. Ojciec odpowiedział, że rosyjski język musi być znany na całym świecie.

- *Prawilno bačka* - spodobało się, że taki patriota jedzie. Jedna rodzina została zawrócona. Przy sprawdzaniu dokumentów odkryli karykaturę Stalina. Potem zmieniono nam wagon. Pokazali węglarkę z sianem i rozkazali: ładujcie się w waszu Polszu. Przyjechała lokomotywa z maszynistą z Warszawy. Po 20 km jazdy powiedział, że dalej nie pojedzie, bo trzeba naoliwić. Chciał wódki. A my już oddaliśmy ją ruskim. Ludzie byli zdezorientowani, jadą do Polski, szyją biało-czerwoną flagę, a tu taka sytuacja. Po trzech dniach postoju w Białymstoku udało się częściowo zakryć węglarkę, na wypadek deszczu i żeby można było spać.

Jechaliśmy przez Warszawę. Nie było ludzi tylko same gruzy. Zastanawialiśmy się, czy wszystkie miasta tak

wyglądają i dokąd ostatecznie dojedziemy. Po dwóch tygodniach pociąg zatrzymał się w Kwidzynie. Był 11 listopada 1945 roku. Miałem czternaście lat.

Na Ziemiach Odzyskanych

W Kwidzynie zamieszkaliśmy w domu przy ulicy Staszica 20 z ubikacją na korytarzu i z zepsutym ogrzewaniem. W styczniu było wyjątkowo ciepło, około +10 stopni Celsjusza. Od razu napisałem o tym do kolegi, że jest jak w Afryce. Potem sypnęło śniegiem i zima trzymała aż do maja. Zacząłem chodzić do drugiej klasy gimnazjalnej, ale wiedziałem znacznie więcej, więc nudziłem się. Pamiętam, jak byłem dumny z pierwszej akademii z okazji rocznicy Powstania Styczniowego. Śpiewaliśmy: *Hej, kto Polak za bagnety. Żyj swobodnie Polsko żyj...*

Ojciec nie mógł znaleźć pracy, propozycję zatrudnienia dostał w Olsztynie. Ale w Olsztynie nie było mieszkań, więc w lutym 1946 przyjechaliśmy do Morąga. Mieszkania były, ale bez drzwi i okien. Nam udało się znaleźć z oknami, ale za to nie było bieżącej wody, elektryczności, część pieców została rozkradziona. Z Morąga ojciec dojeżdżał do Olsztyna. Był konduktorem, potem kierownikiem pociągu. W 1946 mama miała 49 lat, tata 46. A my zaczęliśmy chodzić do szkoły. Tylko brat Wacek, który wrócił z robót już z nami nie zamieszkał. Ożenił się, był kierownikiem szkoły w Miłakowie, niedaleko Morąga.

Kresowianie na Warmii

Młodzież powojenna był wyrośnięta. Byliśmy z różnych stron Polski. Autochtoni, ekspatrianci z Kresów, ci którzy przyjechali za lepszym życiem z Polski centralnej, zesłańcy z Kazachstanu, jak Wojtek Dobrowolski czy Jadzia i Zosia Frydlewiczówny. Były półsierotami, ojca zamordowali sowioci (*znajduje się na ukraińskiej liście katyńskiej - przyp. red.*) W Nowym Dworze koło Morağa ich mama była kierowniczką sierocińca.

Najwięcej w naszej szkole było kresowian z Wileńszczyzny. Kaziuk, Józiuk, rozpoznawano nas po akcencie. Także z Wilna przyjechał nasz dyrektor Stanisław Świacki oraz państwo Stanisława i Edmund Zobczyńscy. Pan Edmund ukończył przed wojną Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, uczył rysunku i biologii. Pani Zobczyńska, po paryskiej Sorbonie, uczyła francuskiego.

Naszego wychowawcę, profesora Świackiego traktowaliśmy jak kogoś bardzo bliskiego. Cała klasa zwróciła się do niego, aby był naszym świadkiem sakramentu bierzmowania. Zgodził się i nad każdym trzymał ręce. Mimo coraz większej kontroli partii nad wychowaniem i nauczaniem, profesor potrafił przekazać prawdę o sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Na lekcji o symbolach godła polskiego usłyszeliśmy, że korona orła białego symbolizowała niepodległość Polski. A przecież jej już nie było. Dyrektor Świacki gnębiony przez partię, ostatecznie zrezygnował z funkcji dyrektora. Został w szkole, ucząc historii i łaciny.



Józef Andruszkiewicz w szkole w Morażu przy tablicy poświęconej prof. Stanisławowi Świackiemu. Poniżej tablicy kwietnik wykonany przez J. Andruszkiewicza.

Pamiętam, jak do szkoły przyszły paczki z UNRY. Nosilem marynarkę z guzikami z amerykańskim orłem. Dostałem też przybory szkolne. W odpowiedzi na pomoc Amerykanów byliśmy coraz bezwzględniej poddawani ideologii komunistycznej. Jedyłą ostoją wolności było harcerstwo. Naszym hufcowym był powstaniec warszawski. Pamiętam, że zaprosił mnie do domu, pokazywał dokumenty. Miał do mnie zaufanie. Należałem do drużyny wodniaków. Z jeziora wyciągnęliśmy łodzie poniemieckie. Drużynowym był Poldek Wierzbicki, wilniuk. Nosiliśmy czarne chusty, naszym patronem był Zawisza Czarny.

W klasie maturalnej okazało się, że musimy wybierać kierunki nauczycielskie, żeby po studiach uczyć na wsi. Ja swoje plany wiązałem z przemysłem okrętowym. Dyrektor naciskał. Zostałem wezwany do gabinetu, a tam dwaj panowie z partii zaczęli uświadamiać mnie, jak dobra jest ojczyzna, która dała mi wykształcenie. Odpowiedziałem, że chcę dla ojczyzny budować statki. Dyrektor stwierdził, że na politechnice wykładają ci sami wykładowcy, co na Wyższej Szkole Pedagogicznej. Upierałem się. Wreszcie usłyszałem: a czy ty wiesz durniu, że za dwa tygodnie jest matura? W lot zrozumiałem, że chwilowo muszę ustąpić. Po zdanej maturze powiedziałem dyrektorowi, że zmieniam zdanie i idę na politechnikę. Nie przyjął tego do wiadomości i wyrzucił mnie z gabinetu. W związku z tym miałem rok przerwy. W tym czasie zmienił się wiek poboru i jako dwudziestolatek dostałem powołanie do wojska. Na szczęście zdałem egzaminy i zostałem studentem fizyki na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Fragmety wspomnień Józefa Andruszkiewicza opracowała Bożena Rzepiak. W Fundacji Pomorskich Kresowian zajmuje się dokumentowaniem i archiwizacją kresowego dziedzictwa.

Znane-nieznane

Historia niezłomnej „Zośki”

Zajmując się naukowo Armią Krajową na Wileńszczyźnie i podziemiem niepodległościowym po 1944 roku odkrywam życiorysy kobiet, zaangażowanych w działalność niepodległościową, budzące podziw i najwyższy szacunek. Każda zasługuje na osobną monografię biograficzną. Wśród nich jest Stanisława Filipek-Smoter ps. „Zośka”, której historia związana jest nie tylko z Kresami, ale i z Gdańskiem.

Stanisława Filipek-Smoter urodziła się 20 września 1902 r. w Krakowie, jako córka Jakuba Filipka, z zawodu nauczyciela i Marii. Rodzina przeniosła się do Brzeżan, gdzie podjęła naukę w szkole pierwszego stopnia, którą kontynuowała, po kolejne przeprowadzce, w Przemyślu. Wybuch wojny w 1914 roku, a także śmierć ojca spowodowały, iż Filipkowie opuścili miasto-twierdzą tuż przed nadciągającą armią rosyjską. Znaleźli się najpierw w Kunowicach na terenie obecnych Czech, a po odparciu Rosjan przenieśli się na Śląsk Cieszyński do Bielska. Tam Stanisława skończyła szkołę podstawową.

Lwowskie Orłęcie

Po zajęciu Galicji i ziem wschodnich przez Państwa Centralne przeniosła się z rodziną do Lwowa. Zaczęła naukę w Seminarium Nauczycielskim. W czasie obrony Lwowa w 1918 roku, już na samym początku

walk, prowadziła działalność wywiadowczą, przekazując informacje o miejscach stacjonowania oddziałów ukraińskich. Miała wówczas 16 lat. W grudniu 1918 roku zasiła szeregi Milicji Obywatelskiej Kobiet, przemianowanej na Ochotniczą Legię Kobiet. Pełniła służbę wartowniczą, kurierską, była także przewodniczką. Wyróżniła się przeprowadzając pod ukraińskim ogniem oddziały polskie na nowe pozycje. Awansowała wówczas do stopnia kaprała. Za okres służby otrzymała Krzyż Obrony Lwowa, odznakę Orłęta oraz Medal Pamiątkowy za Wojnę 1918-1921.

Po zakończeniu działań zbrojnych we Lwowie podjęła sześciomiesięczną naukę w Szkole Podoficerskiej. Po jej ukończeniu, w połowie 1920 roku, została mianowana plutonowym-instruktorem. Do połowy 1921 roku służyła w Legii jako instruktor. Po jej rozwiązaniu opuściła szeregi wojska i wróciła do życia cywilnego. Kontynuowała naukę w Seminarium Nauczycielskim, które ukończyła w 1921 roku z wyróżnieniem i rozpoczęła pracę jako nauczycielka w Kolnie koło Łomży. Tam wzięła ślub z kierownikiem szkoły, Smoterem i razem z mężem przeniosła się do Rzeszy Wileńskiej. Po zaocznie zdanej maturze w gimnazjum humanistycznym podjęła studia, prawdopodobnie filozofię, na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, które ukończyła w 1930 roku. Została nauczycielką historii w elitarnym Seminarium Nauczycielskim Męskim im. Tomasza Zana przy ul. Ostrobramskiej 29 w Wilnie.

Stanisława Filipek-Smoter udzielała się społecznie. Została prezesem oddziału Związku Legionistek

Polskich w Wilnie, organizacji, która swoje siedziby miała w lokalach przy ul. Św. Anny 2, następnie przy ul. Orzeszkowej 11 b m.1 oraz Inflanckiej 13. Pracowała także w Związku Młodzieży Wiejskiej, prowadząc biblioteki i organizując widowiska teatralne dla społeczności wiejskich. Była również skarbnikiem Zarządu Sekcji Okręgowej Szkolnictwa Średniego Związku Nauczycielstwa Polskiego w Wilnie. Za pracę społeczną otrzymała Srebrny Krzyż Zasługi.

Konspiracja i Łukiszki

Po wybuchu II wojny światowej była współorganizatorką oddziałów „Legii Kobiecej”, czyli Przystosowania Wojskowego Kobiet. Blisko 500 ochotniczek po przeszkoleniu (na boisku na Pióromoncie, róg Kalwaryjskiej) zostało podzielonych na pododdziały i wyznaczonych do pełnienia różnych funkcji, w tym wartowniczych przy budynku Inspektoratu Armii i magazynach wojskowych na Antokolu.

6 września 1940 roku została aresztowana przez sowietów za działalność przedwojenną. Jednym z powodów było umieszczenie jej zdjęcia w roczniku Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny. Przeszła śledztwo w więzieniu na Łukiszkach. Podczas próby ewakuowania więźniów, 24 czerwca 1941 roku została uwolniona z transportu. Ponownie zaangażowała się w pracę konspiracyjną. Przyjęła pseudonim „Zośka”. Poprzez kontakty z legionistkami werbowała nowych członków konspiracji, zbierała broń i prowadziła kursy. Jeden z nich - obsługi karabinu maszynowego, odbywał

się w jej mieszkaniu. Instruktorem był ppor. Edward Sobczyk. Trwał półtora miesiąca, a uczestniczyło w nim 12 osób. Podczas prowadzenia kursu sanitarnego, którego część odbywała się w budynku Nocnej Pomocy Lekarskiej przy ul. Mickiewicza 27 (kurs prowadził dr Stanisław Chylicki), doszło do wsypy. W wyniku zeznań jednej z legionistek, Janiny Rauszówny, Stanisława Filipek-Smoter została aresztowana. Po kilku miesiącach ciężkiego śledztwa 30 listopada 1942 roku odzyskała wolność. Stało się to w efekcie jej nieugiętej, niezłomnej postawy oraz cofnięcia przez Rauszównę oskarżających zeznań. Po wyjściu zaangażowała się w działalność komórki Legalizacji. Początkowo wyszukiwała nowe lokale, z czasem zaczęła zajmować się także kancelarią Legalizacji. W jej mieszkaniu przy ul. Świronek 1 magazynowano także część chemikaliów niezbędnych w pracy. Za działalność konspiracyjną została odznaczona w 1944 roku przez Komendę Okręgu Wileńsko-Nowogródzkiego AK Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Dziesięć lat zsyłki

30 czerwca 1945 roku Stanisława Filipek-Smoter została aresztowana przez NKWD. Po przesłuchaniach na ul. Ofiarnej i ponownym pobycie na Łukiszkach zesłano ją w rejon Uchty (obóz Książ-Pagost w Republice Komi). Tam pracowała w szpitalu, a po przeniesieniu do Krasnojarska została zatrudniona przy pracach rzemieślniczych, pracach ziemnych, m.in. przy stawianiu kominów fabrycznych. Zwolniona 1 grudnia 1955 roku wróciła do Polski. Zamieszkała w Gdańsku. Pracowała w Zasadniczej Szkole Zegarmistrzowskiej Centralnego

Związku Spółdzielczości Pracy na ul. Sterniczej 2 w Gdańsku-Brzeźnie (od 1 kwietnia 1956 roku), a od 1 lutego 1965 roku w Technikum Budowy Okrętów w Gdańsku. Na emeryturę przeszła w 1968 roku. Zamieszkała w Krakowie. Zmarła 9 października 1990 roku. Spoczęła na Cmentarzu Rakowickim.

Wiersz „Ponary”

Stanisława Filipek-Smoter w więzieniu na Łukiszkach była świadkiem wywożenia więźniów na miejsce kaźni do podwileńskich Ponar. Po latach odnaleziono wryty na ścianach jednej z cel więzienia jej wiersz – świadectwo tamtych czasów.

Świt. Gwizdek na korytarzu

Znikają senne mary

Słać „łóżka”! Myj się! Gotuj!

Może dziś Ponary

Brzęk kluczy, wrzask strażniczki

„Pasirupszti vajkszcziot” w pary

Mierz krokiem koła, koła

Których kres to Ponary.

Różaniec dni się toczy

Tęsknocie nie ma miary

A każdy ranek mroczny

Tragiczny dzień Ponary.

*Aż kiedy z listy nocą
Zawezwą swe ofiary
W dal drogą bezpowrotną
Pomkniemy na Ponary.
Spokojnie spojrzę w lufę
Pełna gorącej wiary
Że Polska zajaśnieje
Choć spłyną krwią Ponary.*

* Pasirupszti vajkszcziot (litewskie) - przygotuj się do spaceru.

*Opracował dr hab. Piotr Niwiński, historyk,
prof. Uniwersytetu Gdańskiego, pracownik Biura Badań
Historycznych Instytutu Pamięci Narodowej, członek Rady
Fundacji Pomorskich Kresowian.*

2023 r. 80. rocznica rzezi na Wołyniu
i w Małopolsce Wschodniej

W sercu zostały drzazgi

Trzeba tu choć raz przyjechać, by dostrzec i poczuć urok tej ziemi. Tylko w ten sposób można zrozumieć tęsknotę i pełne emocji wspomnienia ludzi, którzy tu żyli i których los zmusił do opuszczenia tego miejsca.

Fascynacja Wołyniem przejawia się w wielu dziełach naszej literatury. Trudno się temu dziwić. Wiele miejsc zachwyca tutaj właściwie o każdej porze roku. Wystarczy trochę fantazji, by na mijanych po drodze rozległych stepach zobaczyć oczami wyobraźni maszerujące polskie wojska. Niestety, nie ma tu już opisywanych w poetyckich przekazach borów z wiekowymi bukami i dębami, które z trudem obejmowało rękoma kilku mężczyzn. Historia nie oszczędziła przyrody Wołynia. Okupacje sowieckie i niemiecka były czasem rabunkowej i niszczycielskiej wręcz gospodarki. Mimo tych strat Wołyń nadal potrafi zachwycać. Kto nie wierzy, niech się uda choćby nad rzekę Styr i spojrzy w jej tajemnicze zakola. Niech odwiedzi stare zamczyska, w których bez trudu odnajdzie ducha historii.

W ramach pracy zawodowej w Muzeum II Wojny Światowej wielokrotnie odwiedzałem Wołyń i przeprowadziłem tam szereg wywiadów. Bohaterami wielu z nich byli ci, którzy musieli stamtąd uciekać w obawie o własne życie, czy też na skutek powojennych

repatriacji. W tym ostatnim przypadku właściwszym może być słowo wysiedlenie, bo przecież wielu z nich musiało to uczynić wbrew własnej woli. Wołyń darzę też osobistym sentymentem, bo stamtąd wywodzą się korzenie mojej rodziny. Tam urodziła się moja matka i tam moja rodzina doznała wielu krzywd ze strony nacjonalistów ukraińskich. Pisałem ten tekst na kilkanaście dni przed świętami Bożego Narodzenia 2022 roku. W moich myślach nie mogło więc zabraknąć matki. To piękne i rodzinne święta. Mimo to ja patrzę na moją matkę, która w drugi dzień tych świąt jest zawsze jakoś mniej radosna. Na jej twarzy widać wtedy zadumanie, a może i smutek. Stara się tego nie okazywać, ale ja wiem, co jest tego powodem. To właśnie w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia w 1943 roku straciła swoją matkę i babcię. Poniżej postaram się przybliżyć te wydarzenia – zarówno to, co je poprzedziło, jak i to, co po nich nastąpiło.



Ślub Janiny i Józefa Juniewiczów

Musimy się przenieść do ówczesnej kolonii Ochocin w gminie Torczyn powiatu łuckiego na Wołyniu. Jednym z gospodarzy rolnych był tu przed wojną mój dziadek, Józef Juniewicz. Uprawiał sześć hektarów żyznej ziemi. Wybudował zaplecze gospodarcze dla trzody chlewnej, bydła i koni, a także – co nie było tak częste na tych terenach – murowany dom mieszkalny. Ożenił się z o dwa lata młodszą od niego Janiną Smolarz. W lipcu 1939 roku na świat przyszła ich upragniona córka, a moja matka – Aniela. Niepokój tamtych dni wpłynął również na ich życie rodzinne. Najpierw 1 września Niemcy, a po nich 17 września 1939 roku Sowieci napadli na Polskę. Józef został zmobilizowany. Założył mundur polskiego żołnierza i poszedł bronić drogiej mu rodziny i Ojczyzny. Dostał się do niewoli, z czasem skierowano go do prac przymusowych na terenie Niemiec. Ślady jego korespondencji z rodziną urywają się w 1943 roku. Był wówczas pod Hamburgiem. Tam też zapewne zginął. Próby ustalenia jego losów okazały się bezskuteczne.

Janina wraz z córką Anielą pozostały w Ochociniu. Niestety nad Wołyniem zapanował krwawy mrok ukraińskiego nacjonalizmu. Nie ominął też Ochocina. Jesienią 1943 roku dokonano napadu na gospodarstwo dziadków Janiny – Józefy i Józefa. W tym też czasie przebywał u nich również brat jej męża – Zygmunt. Żądna krwi i łupów banda wpadła nocą do ich domu. Dom okradli, a związanych mężczyzn powlekli do lasu, gdzie ich zamordowali. Józefa cudem nie podzieliła ich losu.



Józef Juniewicz, ojciec Anieli. Zdjęcie sprzed 1939 roku.

Zdażyła się ukryć w piwniczce pod podłogą komory. Ten mord uświadomił mieszkańcom Ochocina, że nie są już tu bezpieczni. Spakowali niezbędny dobytek i przenieśli się do spokojniejszej w ich ocenie Aleksandrówki. Miejscowość tę wówczas niemal w całości zamieszkały polskie rodziny.

Poczucia bezpieczeństwa nie znaleźli jednak i tutaj. Tu również zdarzały się mordy. Ukraińcy zabili między innymi kowala - Żyda o imieniu Chaim. Wraz z nim zginęła jego żona, ich syn i dwie córki. Szeroko też komentowano zabójstwo Janiny z domu Godlewskiej. Zabił ją mąż. Był Ukraińcem. Przy ciele zostawił kartkę z wyjaśnieniem, że musiał to zrobić, bo inaczej to jego by zabito. Później wstąpił do UPA. Wydarzenia te spowodowały, że na wzór innych miejscowości

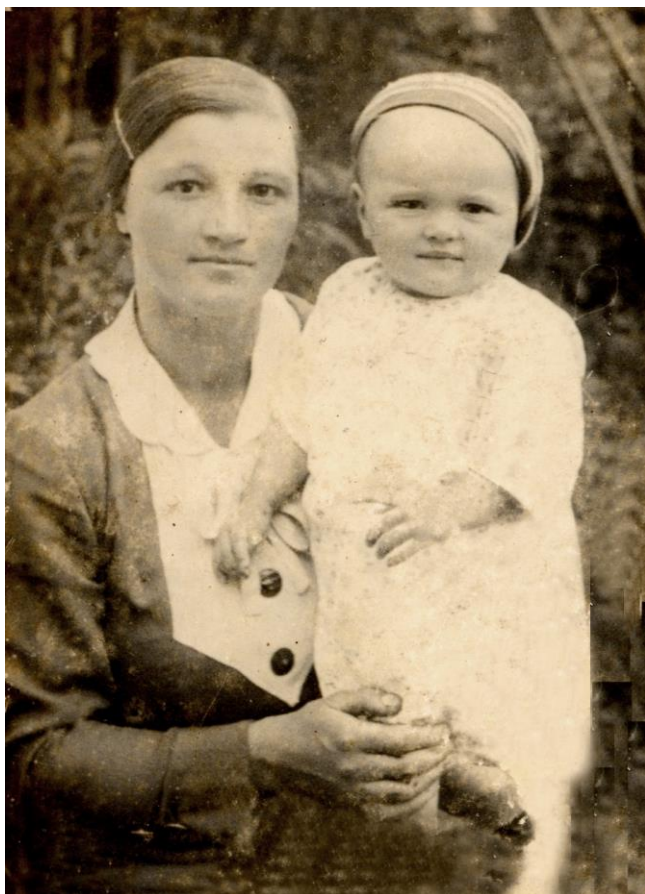
również w Aleksandrówce powstał związany organizacyjnie z Armią Krajową oddział samoobrony. Dowodził nim kierownik miejscowej szkoły, Franciszek Rudziński.

Wraz z trzema synami w marcu 1943 roku udaremnił zbrojnie ukraiński napad na swój dom.

Po kilku tygodniach spokoju Ukraińcy uderzyli ponownie - w maju 1943 roku. Zamordowali wówczas kowala Piotra Łobuczkę oraz jego żonę, syna i matkę. Ich gospodarstwo spalili. Po tym wydarzeniu postanowiono jeszcze bardziej wzmocnić samoobronę. Nawiązano bliższą współpracę z samoobroną w pobliskiej Antonówce Szepelskiej. Dowodził nią Michał Małocha „Jędek”, a ich placówkę dodatkowo wzmacniał oddział AK Jana Rerutki „Drzazgi”.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. W 1943 roku były one bardzo smutne. Janina Smolarz wraz ze swoją matką, Katarzyną Smolarz, oraz ze swoją córką Anielą i innymi kobietami z okolicznych wsi chroniły się wówczas w domu krewnych mieszkających w Aleksandrówce - Błazęjczyków. Był wieczór drugiego dnia świąt. Do drzwi ktoś zapukał. Zobaczyły Ukraińca - młodego mężczyznę, którego znały z Ochocina. Uważały, że jest to dobry człowiek. Prosił Janinę i Katarzynę, by wyszły, ponieważ ma do przekazania wiadomości od ich rodzin. Nie posłuchały ostrzeżeń pozostałych kobiet i wyszły. Po chwili padły dwa strzały i dało się usłyszeć kroki uciekających ludzi. Kiedy po pewnym czasie pozostałe kobiety odważyły się otworzyć drzwi, Ukraińców już nie było. W plamach krwi na śniegu leżały martwe już kobiety. Czteroletnia

wówczas Aniela niewiele rozumiała z tego, co się stało. Jej pierwszym zapisanym w pamięci obrazem została jednak chwila, gdy wchodzi na łóżko, gdzie na pierzynach położono ciała zamordowanych kobiet. Do dziś wspomina moment, gdy szarpie matkę i dziwi się, że ta się nie rusza. Zapisany w pamięci małego dziecka obraz powracał do niej w kolejnych latach życia.



Janina Juniewicz z córką Anielą



Katarzyna Smolarz

Samoobrona szybko odpowiedziała na wydarzenia w Aleksandrówce. Natychmiast pojawili się na miejscu i udali się w pościg za zbrodniarzami. Po krótkiej walce zabito kilku z nich. Dwóch pojmano i przyprawiono na miejsce morderstwa. Wśród przybyłych na odsiecz partyzantów AK był Józef Smolarz – syn zamordowanej Katarzyny. Jego dowódca zaproponował mu wymierzenie sprawiedliwości pojmanym Ukraińcom. Odmówił, bo nie chciał dalszego mszczenia się na jego rodzinie. Dowódca zgodził się z nim i zwolnił go z partyzantki. Ktoś musiał się teraz przecież zaopiekować czteroletnią Anielą i jego nastoletnią siostrą Józefą. Zamordowane kobiety ułożono na saniach

i zawieszono do wykopanej mogiły przy przydrożnym krzyżu. Do sań przywiązano pojmanyh Ukraińców, na których po pogrzebie wyrok śmierci wykonali inni partyzanci.

Niedługo po tym wydarzeniu, w lutym 1944 roku, pozostałych przy życiu Polaków repatriowano do kraju. W eskorcie wojska przewieziono ich do Łucka. Tam wsiedli do wagonów towarowych. Jeden z nich zajęli Błażejczyki, Smolarze i ostatnia z Juniewiczów – Aniela. Jej opiekun, Jan Smolarz, oddał ją na pewien czas pod opiekę rodziny. Sam nie mógł z nimi pojechać. Wiedział, że jako były partyzant AK może zostać szybko zatrzymany przez NKWD. Po pewnym czasie przedarł się do nich nielegalnie przez nową już granicę Polski.



**Jan Smolarz, wołyński partyzant AK
(siedzi na belce pierwszy od lewej).**

Skupiłem się tu smutnej historii mojej najbliższej rodziny, ale równie dramatycznie potoczyły się losy dalszych moich krewnych. Wspomnę tu chociażby spokrewnionej z Błażejczykami i Smolarzami Władysławie Rogowskiej. To ona odważyła się jako pierwsza wyjść do zamordowanej Janiny i Katarzyny. Już w kolejnym miesiącu, w styczniu 1944 roku, przeżyła następną traumę. Podczas ataku Ukraińców ukryła się wraz ze swoim rocznym dzieckiem i koleżanką z sąsiedztwa w gnojowniku. Ocalały tylko dlatego, że Ukraińców przepłoszył przechodzący tamtędy oddział węgierski.

Historia stosunków polsko-ukraińskich obfituje w wiele tragicznych wydarzeń i trzeba o nich pamiętać. Polskie ofiary nie mogą pozostać anonimowe. Należy im się pamiętać. W trakcie wyjazdów na Ukrainę odwiedziłem tereny, gdzie mieszkała moja rodzina. Znalazłem przydrożny krzyż w Aleksandrówce i przywiozłem stamtąd mojej matce grudkę ziemi. Podczas tych podróży spotykałem Polaków, którzy tam pozostali. Do dzisiaj zmagają się z traumą wojenną i związanymi z nią lękami. Spotykałem też różnych Ukraińców, w tym byłych członków Ukraińskiej Powstańczej Armii. Jedno z takich spotkań utkwilo mi szczególnie w pamięci. Po kilkugodzinnym wywiadzie nasz wówczas już ponad 90-letni rozmówca wstał i powiedział: *Była wojna, byliśmy wrogami. Minęło kilkadziesiąt lat i teraz jesteśmy przyjaciółmi.* Po tych słowach podszedł do nas i każdego z nas – ku naszemu zaskoczeniu – uściskał. Myślę, że nie przeproszał, ale chciał zrozumienia i pojednania.

Agresja Rosji na Ukrainę otworzyła nowy rozdział w historii relacji pomiędzy oboma narodami. Polacy udzielają ogromnej pomocy Ukraińcom. I bardzo dobrze, bo tylko wspólny wysiłek przeciwko agresorom może dać gwarancję pokoju. Musimy żyć w zgodzie, ale też pamiętać. I temu też ma służyć ten tekst napisany na kilka miesięcy przed 80. rocznicą zbrodni wołyńskiej.

Waldemar Kowalski, psycholog, pasjonat historii, major służby więziennej w stanie spoczynku, kierownik działu dokumentacji filmowej w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, przewodniczący Rady Fundacji Pomorskich Kresowian. Zdjęcia ze zbiorów W. Kowalskiego.

Kalendarium

1 września 2021 r. Powstanie Fundacji Pomorskich Kresowian. Fundator Michał Rzepiak. Powołanie Rady Fundacji w składzie: Bożena Ptak, Waldemar Kowalski, Piotr Niwiński, Zygmunt Wojniłło oraz Zarządu: Michał Rzepiak, prezes; Małgorzata Wojtkiewicz, członek Zarządu.

7 września 2021 r. Rejestracja Fundacji w Krajowym Rejestrze Sądowym.

20 października 2021 r. Pierwsze posiedzenie Rady Fundacji Pomorskich Kresowian. Wybór Waldemara Kowalskiego na przewodniczącego Rady. Omówienie i akceptacja programu działalności Zarządu Fundacji na lata 2021-2022.

Miejsce: biuro Fundacji, ul. Jaśkowa Dolina 17, Gdańsk.

21 listopada 2021 r. 1. Kresowa Środa Literacka.

Spotkanie z Agnieszką Rybak i Anną Smółką, autorkami książki „Kresy. Ars moriendi”, Wydawnictwo Literackie. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Josepha Conrada Korzeniowskiego w Gdańsku.

29 grudnia 2021 r. 2. Kresowa Środa Literacka.

„Diduch, drzewko, kisiel, kutia i śliżyki. Święta na Kresach w literaturze” - prelekcja Tomasza Kuby Kozłowskiego z Domu Spotkań z Historią w Warszawie. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Josepha Conrada Korzeniowskiego w Gdańsku.

26 stycznia 2022 r. 3. Kresowa Środa Literacka.

Spotkanie autorskie z Adamem Hlebowiczem (Biuro Edukacji Narodowej IPN), autorem książki „Podróż na Wschód”, Wydawca Instytut Pamięci Narodowej.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Josepha Conrada Korzeniowskiego w Gdańsku.

23 lutego 2022 r. 4. Kresowa Środa Literacka.

Prezentacja albumu „Kpt Gracjan Fróg „Szczerbiec” 1911-1951” Michała Ostapiuka (IPN). Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Josepha Conrada Korzeniowskiego w Gdańsku.

30 marca 2022 r. 5. Kresowa Środa Literacka.

„Od królewskiej biblioteki do imperium wydawniczego Idzikowskiego. Z dziejów polskich księgozbiorów i polskiej książki w Kijowie” - prezentacja Tomasza Kuby Kozłowskiego z Domu Spotkań z Historią w Warszawie.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Josepha Conrada Korzeniowskiego w Gdańsku.

27 kwietnia 2022 r. 6. Kresowa Środa Literacka.

Promocja książki śp. prof. Wiesława Makarewicza „Wileńskie korzenie Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego”, Wydawnictwo GUMED. Prelekcja prof. Bolesława Rutkowskiego i red. Małgorzaty Omilian-Mucharskiej.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Josepha Conrada Korzeniowskiego w Gdańsku.

25 maja 2022 r. 7. Kresowa Środa Literacka.

Spotkanie autorskie z Dominiką Leszczyńską, autorką książki „Kolejarze z Wileńszczyzny”, Wydawca Stacja Muzeum w Warszawie.

Sala konferencyjna Dyrekcji PKP SA w Gdańsku.

30 maja 2022 r. Spotkanie z kilkunastoma nauczycielami w Ogólnokształcącej Szkole Muzycznej I i II stopnia im. F. Nowowiejskiego w Gdańsku inicjujące **Szkolne Koła Kresowe**.

30 czerwca 2022 r. 8. Kresowa Środa Literacka.

„Czesław Miłosz – prawnik i poeta”. Wykład dr. Tomasza Snarskiego (w zastępstwie Michał Rzepiak). Oblackie Centrum Edukacji i Kultury w Gdańsku.

17 września 2022 r. 83. rocznica agresji sowieckiej na Polskę. Spektakl „Zapiski oficera Armii Czerwonej”, według Sergiusza Piaseckiego w wykonaniu aktorów Teatru Polskiego „Studio” z Wilna w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

Organizatorzy: MIIWŚ w Gdańsku i Fundacja Pomorskich Kresowian.

28 września 2022 r. 9. Kresowa Środa Literacka.

Spotkanie autorskie z dr. Janem Skłodowskim, autorem książki „Zaleszczyki. Riwiera przedwojennej Polski”, Wydawnictwo „Księży Młyn”. Oblackie Centrum Edukacji i Kultury w Gdańsku.

26 października 2022 r. 10. Kresowa Środa Literacka.

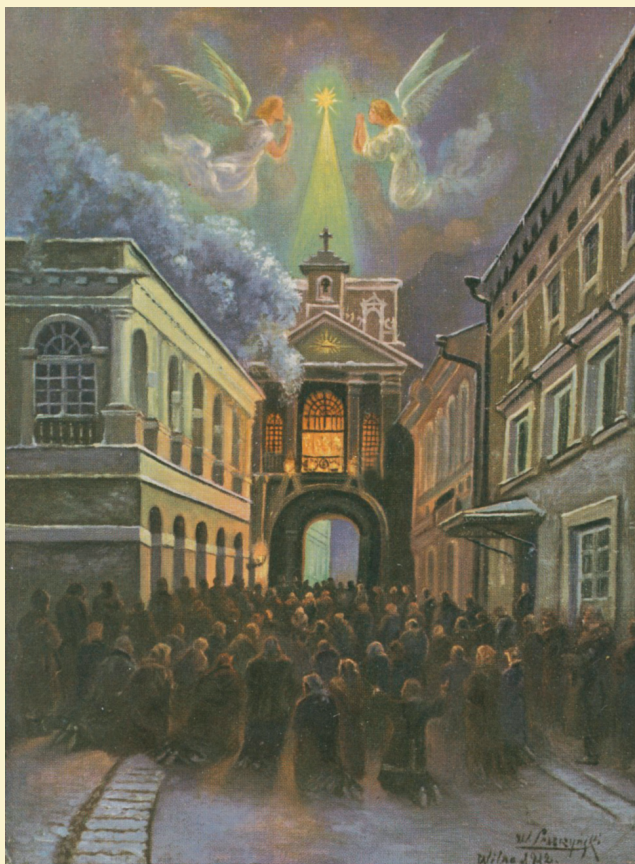
„Nie tylko Mickiewicz, Słowacki, Moniuszko. Z romantykami po Kresach” - prezentacja Tomasza

Kuby Kozłowskiego z Domu Spotkań z Historią w Warszawie. Oblackie Centrum Edukacji i Kultury w Gdańsku.

30 listopada 2022 r. 11. Kresowa Środa Literacka. „Kwartet Iwowskich tekściarzy. Hemar, Schlechter, Budzyński, Friedwald” - prezentacja Tomasza Kuby Kozłowskiego z Domu Spotkań z Historią w Warszawie. Oblackie Centrum Edukacji i Kultury w Gdańsku.

15 grudnia 2022 r. Spotkanie Rady i Zarządu Fundacji Pomorskich Kresowian. Zatwierdzenie przez Radę sprawozdania programowego i finansowego Fundacji za lata 2021-2022 oraz akceptacja działań Zarządu Fundacji i prowizorium finansowego na 2023 rok.
Miejsce: biuro Fundacji, ul. Jaśkowa Dolina 17, Gdańsk.

28 grudnia 2022 r. 12. Kresowa środa Literacka. „Soplicowskie awantury, czyli witajcie w Czombrowie”. Spotkanie autorskie z Joanną Puchalską, autorką książki „Dziedziczki Soplicowa”, Wydawnictwo Muza SA. Oblackie Centrum Edukacji i Kultury w Gdańsku.



2023

FUNDACJA POMORSKICH KRESOWIAN
ul. Jaškowa Dolina 17, 80-256 Gdańsk
fundacjapomorskichkresowian.pl

Kontakt: 601 979 828, 601 611 567
biuro@fundacjapomorskichkresowian.pl
PKO BP SA Nr konta: 63 1020 1811 0000 0802 0385 9840